

Sońka

IGNACY KARPOWICZ



Igor Karpowicz

Sońka

Dobrym ludziom

Dawno, dawno temu – tak Sonia zaczynała szczególne zdania, w których nie pojawiały się krowy, kury i świny, święta, chleb i podatki, sianokosy, wykopki i gradobicia; tak zaczynała zdania, które grzęzły gdzieś w krtani, zatrzymywały się na gładkich, bezzębnych dźwiękach, by ześliznąć się na powrót w ciało: do płuc, serca i kurzu, zbijającego się w kłębki pośród starych, zużytych narządów. Ale niekiedy, po tym „dawno, dawno temu”, niekiedy jednak słowa pokonywały opór, przebijały tkankę mięsa i czasu, wybrzmiewały do końca i dopiero wtedy na powrót zagłębiały się w cieło: przez uszy wędrowały do mózgu, tam szukały miejsca, tam czekały, aż sen rozluźni zdarzenia, aż poluzuje problemy – wtedy, który to już raz, słowa śniły się jako historie, i dobre, i złe, zależy którądy patrzeć, kiedy się obudzić i dokąd nie dotrzeć.

Minęło dziesięć, trzydzieści lub pięćdziesiąt lat, lecz dla Soni od dwudziestu, czterdziestu lub sześćdziesięciu lat to było równie dawne dawno temu. A po tym „dawno” i tamtym „temu”, po nich zawsze odżywał akuratnie ten sam, toczka w toczkę, czas, gdy Sonia, bardzo młoda, nażyła się i naczuła tyle, że potem już ani żyła, ani czuła. Ot, machała wiązką palców, poszły korki, bezpieczniki, tfu!

Człowiek bowiem, zwykła mawiać, nie jest zrobiony z trwałego materiału, składa się z tego, co je: z mleka, mięsa i mąki, z owoców, grzybów, prosfory i soli. O tak, zwłaszcza z soli. To ona nadaje całości jakiś smak, kształt, to ona sprawia, że człowiek się nie psuje, nie gnije, tylko usycha, aż zaczyna przypominać wyleżaną w deszczu i słońcu kość.

Bo jak człowiek, a na pewno wiejska kobieta, za dużo czuje i za szybko żyje, to mu gdzieś coś iskrzy, iskrzy, iskrzy, a potem cała instalacja do niczego się nie nadaje: Pan Bóg, nasz *Hospadzi*¹, nie przyjmuje reklamacji, mimo to nieraz zapomina wysłać majstra, odzianego w chałat i czaszkę, co kosą podcina nogi, ścięgną i więzadła, ażeby jaka taka przejściowa czystość i porządek panowały, nim nadejdzie czystość jasnych kopuł i porządek ostateczny, odbity w studziennych oczach świętych ze złożonych desek, w samym źródle nicości.

Sonia wyciągnęła szpikulec od łańcucha, na którego końcu spokojnie stała łąciata krasula. Krowa przeżuwała trawę i dawała mleko, cielęta się co dwa lata, dostarczała mięsa i skóry, produkowała – co prawda niewielkie, lecz nie do pogardzenia – pieniądze. Produkowała te pieniądze niby mennica państwowa nawet wtedy, gdy spała albo gdy spod ruchliwego ogona strzelał placek rozbryzgnięty niby z testu Rorschacha. Łąka żywiła krowę, krowa, żywiąc miastowych, żywiła Sonię. Tak już ten świat urządzono, że aby jeść mogli jedni, jeść muszą drudzy. Bo jak wszyscy przestaną jeść, mówiła Sonia, to świat wychudnie, a jak świat wychudnie do szczętu, to bobrowe sadło i szeptuchy nie pomogą.

Sonia, wyciągnąwszy szpikulec i wyczekawszy chwili, gdy oddech przestał boleśnie obijać się o żebra, oparła się ciężko na sękatym kiju, tak jak niegdyś opierała się na widłach – jeszcze ciężiej się wtedy opierała, och, jak ciężiej, jak okropnie ciężko, jak worek z mięsem –

¹ Jeszcze do niedawna na Podlasiu, zwłaszcza tym wiejskim i małomiasteczkowym, istniały obok siebie dwie rzeczywistości językowe: polska i białoruska. Trwały osobno, strzegąc swojej odrębności, lecz równocześnie były dla siebie nawzajem doskonale zrozumiałe. Ten czas niestety nieodwracalnie dobiega końca. Dlatego zdecydowałem się w jednym miejscu, na końcu książki, zebrać słownictwo białoruskie, nie tyle dla objaśnienia, ile – i to chyba jest znacznie ważniejsze – aby dać okazję do zanurzenia się w innym, równoległym świecie językowym, egzotycznym, a jakże bliskim.

poprawiła chustkę, zacmokała: – *Nu, Mućka, paszła*² – powiedziała do krowy. Łaciata mleczarńia, samobieźna i nabrzmiała w wymionach, spojrziała na Sonię najbrązowszym brązem swoich oczu, na których dnie rosły trawy, przelatywały gzy, a u wodopoju przepływały maleńkie, kolczaste rybki, *kaluczki*³; pożytek z nich tak mały jak one same, lecz małe i nieprzydatne w czas dostatku stają się wielkie i niezbędne w czas głodu i wojny.

Sonia wolniutko ruszyła, nawet nie spojrziała za siebie przez ramię: lewe na zły urok, prawe na odczarowanie, wiedziała bowiem, że krasula zna drogę: wydeptaną wąską ścieżką, opadającą łagodnie aż do stratowanego kopytami brzegu rzeki; tam krowa wypije ze dwa wiadra wody, a babuleńka wyciągnie z kieszeni najtańszego miętusa. Potem pod górę – trzeba przystanąć ze trzy razy, ażeby oddech dogonił człowieka, oddech albowiem, twierdziła Sonia, człowiekowi kroku nie dotrzyma, a jak człowiek za bardzo pędzi, to potrafi swój oddech zgubić, a jak człowiek swój oddech zgubi, to i sam święty Mikołaj Cudotwórca ani święty Mina tego oddechu nie odszukają – a jak piaszczysty pasek wychynie zza krzaków, wtedy już bez nerwacji starczy pozwolić nogom zanieść się do chałupy.

Piaszczystą drogą czasem przemyka samochód na białostockich albo nawet warszawskich numerach, chyłkiem mknie, wzbijając pył niby zasłonę dymną.

I właśnie – jak w bajce, gdy przejeżdżający konno królewicz rozpoznaje w wieśniacze swoje przeznaczenie, szczęście, dzieci i przekleństwo mezaliansu – przejeżdża pięciusetkonna limuzyna. Przejeżdża, choć koniec końców staje.

Obłe cielsko mercedesa klasy S, opalizujące szaro niby przerośnięty żuk, nieruchomieje. Krasula kicha, przeżuwa trawę zmagazynowaną w którymś z licznych w liczbie cztery żołądków, przestawia kopyta i interesuje się jedynie gzami próbującymi przysiąść na jej nosie. Sonia natomiast wykorzystuje rękę jak daszek, ręka – teraz zrogowaciała, z wrośniętymi drzazgami, odciskami, z historią wielu krzyżyków – pozwala więcej zobaczyć: *Tfu, myśli Sonia, przystanuli i buduć scać*⁴.

Wypróżnianie pęcherza na łonie natury nie zachodzi. Sonia pomyliła się w doborze słów, chociaż nie popełniła błędu w ocenie tego, co nastąpi, Sonia bowiem nie chciała niczego konkretnego powiedzieć; jak po zimie przychodzi wiosna, tak po zatrzymaniu samochodu z warszawską rejestracją przychodzi coś niewłaściwego.

Mercedes znieruchomiał, kurz opadał, z głośników – przednie drzwi, te od strony kierowcy, się rozwarły – buchnęła muzyka i wynurzył się miastowy królewicz. Zamiast: „kocham, szukałem, ogłoszenia dawałem”, zamiast tego zwyczajnie zamknęły się drzwi, a muzyka zgłuchła.

Pył opadał, samochód zamilkł w swoim V8, brzeżkiem drogi szła krasula, za krasulą – nie wiadomo, kto kogo prowadził – Sonia, a za nią chyba nic się nie ciągnęło: co miała, dawno innym ofiarowała, a czego nie miała, tego ani dać, ani ukraść mogła. Po tej samej stronie, na tym samym brzeżku, stał miastowy królewicz z plecaczkiem miast berła a uśmiechem zamiast królestwa. Miał ci on szorty w militarne plamy i nieużyteczne kieszenie, miał koszulkę z krótkim rękawem w kolorze pomarańczowym jak siekacze nutrii, miał sandałki z zamszu jeszcze miększego niż karakułowe futro najprawdziwszej gminnej elegantki, Wiery z Urzędu w Gródku, która raz w tygodniu do Białegostoku jeździła własnym autem imieniem golf, made in Germany, jak koszmar, który Sonia przeżyła, i jeśli auto choć w części było tak wysokiej jakości jak wojna, to wypadało Wierze tylko pozazdrościć – posłuży jej niezawodnie i długo, i nigdy nie opuści jej

² Nu, Mućka, paszła. – No, Mućka, ruszaj.

³ kaluczki – niewielkie rybki, żyjące w strumieniach i rzekach

⁴ Tfu, przystanuli i buduć scać. – Tfu, zatrzymali się i będą sikać

głowy ni myśli.

No, po prostu, pomyślała zaintrygowana i nieco zdenerwowana Sonia, no, taki ładny ten królewicz, że nic tylko go postawić w dużym pokoju i raz w tygodniu odkurzać z kurzu, a na święta ubierać w złocone falbanki, bufki i dziobaki, palić świeczkę, ze skarpety wyciągnąć ostatni po matce pierścionek i patrzeć, patrzeć, aż do akuratnego napatrzenia się, a potem – spać.

Miastowy młodzieniec miał imię, czego Sonia się domyślała, miał pozycję, czego już Sonia domyślić nie mogła, miał też najwyraźniej zły humor, od którego niepotrzebnie zmarszczki się wyrzynają, co ich nawet Lancôme z Ireną Eris Doktor nie odczarują. Długo macał się po kieszeniach, zaglądał do plecaczka, jak gdyby gdzieś tam zagubiła się karteczka z poradami i odpowiedziami na wszystkie pytania świata: co robić i jak żyć, czego unikać i z kim unikać, gdzie unikać i za ile, no ale przede wszystkim – gdzie jest pierdolony numer do jebanego assistance. Nie wydobył jednak karteluszek, tylko papierosy w złoconej paczce – kto pali i lata dużo po świecie, ten wie, że z duty-free – zapalił, zaciągnął się i rozkaszał. – *Zdychlina*⁵ – szepnęła Sonia w ucho krasuli, wstrzymanej w swej samobieżności nad krzakiem i rozmyślającej o naturze gzów.

Królewicz wydobył komórkę w bardzo najnowszym modelu, tak piękną i lśniąca, że w sam raz umieścić ją nad carskimi wrotami ikonostasu, aby w największej potrzebie: powódź, wojna, prawica u władzy – zadzwonić do Szefa i się naskarżyć, otworzyć serce i nieograniczony kredyt impulsów: *Spasi, Hospadzi, spasi*⁶. Lecz ta komórka, choć bardzo piękna i bardzo w sierpniowym słońcu błyszcząca, nie połączyła właściciela z właścicielem podobnego cudeńka po drugiej stronie, gdzieś w prawdziwym jakimś świecie: z kinami, domami towarowymi i pizzą na telefon zero osiemset, połączenie bezpłatne, dowóz też, byle przekroczyć trzydzieści złotych.

Sonia wiedziała, że miastowy zatrzymał się w dziurze, i to dziurze stukrotnej, bo żaden operator tego kawałeczka ziemi nie pokrywał, żaden socjolog mieszkańców w statystykach nie uwzględniał, nawet pop niechętnie swoim daewoo espero zaglądał, a i to tylko po to, żeby poświęcić prędko, pobłogosławić mechanicznie, kopertę do kieszeni wsunąć, i tyle; tyle go widziano, że trzy do pięciu razy w roku, zależnie od liczby zgonów, bo przecież liczba świąt pozostaje niezmienna.

Tutaj, na końcu niczego, w Królowym Stojle nieopodal metropolitalnej Słuczanki, stały tylko cztery chałupy. W najmniejszej mieszkała Sonia, w dwóch myszy harcowały, jako że gospodarze ułożyli się w trumnach, teraz czasem przybywali miastowi spadkobiercy na weekend, choć raczej nieczęsto i na pewno nie w każdy; szkoda, że nieczęsto, zawsze to jakaś odmiana, jakiś hałas w ciszy, jakieś życie w głuszy; zaś chałupa czwarta to już co innego: nowa, stawiana za panowania Kwaśniewskiego drugiego z pustaków – upiększona plastikowymi oknami, błyskająca szkiełkami słuczonych butelek, z których poukładano w tynku piękne mozaiki w kwiatki, falki i paskudki; tłuste krasnale stały rządkiem w ogrodzie jak w obozie koncentracyjnym, między grządkami kapusty a cebuli, w myśl zasady, że to co piękne, musi być zdyscyplinowane, a do tego na balkonie gipsowa balustrada, a jeszcze i kolumnienki, i ganeczek, i gzysik – najczystszy barok słuczańsko-kacapski.

Królewicz schował telefon i stał bez ruchu, obrócony plecami do drogi, zaś oczyma do łąk i linii nieodległego lasu. Stał, zaciągając się papierosem, z opaloną twarzą skierowaną ku słońcu, lekko uśmiechnięty. *Musi jaki durak, bez struka*⁷, pomyślała Sonia wskutek uśmiechu

⁵ zdychlina – zdechlak

⁶ Spasi, Hospadzi, spasi. – Zbaw, Panie, zbaw (nas).

⁷ Musi jaki durak, bez struka. – Pewnie jakiś głupek, bez penisa.

miastowego piękniejsia, a trzeba dodać od razu, za pamięci, iż zdanie Soni podzielało grono wpływowych krytyków teatralnych, literackich oraz, choć to już osobna historia, kilka osób bliżej zaznajomionych ze złotawym, czy też złociejącym chłopcem.

Zjawiskowa postać nazywała się Igor Grycowski i była najgłośniejszym i najzdolniejszym (tak chcieli jedni), ewentualnie najbardziej pretensjonalnym i pozbawionym wycucia sceny (tak chcieli drudzy) reżyserem teatralnym młodszego niż starsze pokolenia, a także literatem od powieści bez uchwytnej fabuły. Igor uczynił swe nazwisko i osobę głośnymi lat temu kilka, gdy na deskach Teatru Dramatycznego w Warszawie wyreżyserował sztukę pod tytułem *Odruch warunkowy*.

Po premierze rozpętała się sucha, jak to na łamach prasy, burza: a im dłużej grzmiały grzmoty, trzaski, spięcia i przeżarte nienawiścią komentarze, tym głośniejszy stawał się *Odruch warunkowy* i sam Grycowski reżyser. A potem już zjazd z góry, choć pod, pooszło! opera, libretto, Paryż i Nowy Jork. Kolejne sztuki w liczbie trzy oraz powieści w liczbie zero ugruntowały pozycję relatywnie młodszego niż starsi artyści także na polu międzyludzkim oraz przede wszystkim finansowym.

Królewicz, opuściwszy klimatyzowane wnętrze mercedesa, czekał najprawdopodobniej na coś niezwykłego jak manna, na przykład na zasięg, choć kreseczkę jedną, proszę, panie Boże! daj mi, daj! gdyż ani drgnął, kiedy krasula i Sonia zbliżyły się doń na odległość nieznaczną, wręcz domagającą się wymiany zdań, choćby jakiegoś: dzień dobry, jak dojsz mogę do lub dojechać albo gdzie jest najbliższe miejsce z zasięgiem. Królewicz, wylądowawszy niezupełnie tam, gdzie zamierzył, i niezupełnie z tym, z kim zamierzył, wpadł najwyraźniej w jakiś miejski zachwyty nad widokami. Coś mu się boleśnie przypominało. Krajobraz wyglądał jak krajobraz, wszystko wyglądało, jak wyglądało, łąka i drzewa, mimo to cała ta przyroda, rzeka i niebo, droga i bociany, cała ta przyroda zawierała w sobie jakąś groźbę. Usiłował rozstrzygnąć, czy to groźba z przeszłości, czy może na przyszłość. Wreszcie machnął ręką, dał sobie siana, zrobił bip na pilocie, zamykając auto. Odwrócił się niespodziewanie i z gwałtownością, krowę niemal płosząc, choć ta do płochliwych się nie zaliczała, i spojrzął w twarz Soni.

I aż oniemiał, a wargi, ta górna i bardziej okazała dolna, ułożyły się w „o”, twarz Soni bowiem to jest twarz naprawdę, takich twarzy życie już nie lepi, takich twarzy się nie widuje. Bo twarz Soni zstąpiła z ikony: brązowa, czerstwa, popękana, bez znaczenia i kłamstwa, ale też mocna, z jaśniejszymi liniami zmarszczek, a zmarszczek ma chyba pierdylion, mieliby chirurdzy plastyczni zajęcie: polerowanie, naciąganie, przycinanie, wystarczyłoby im niepotrzebnej skóry na przynajmniej trzy nowe twarze. Bo twarz Soni to twarz po prostu: widać, że coś przeżyła, widać, że coś marzyła, nade wszystko jednak ta twarz służy do tego, do czego ją *Haspodź* powołał: do słuchania, patrzenia, jedzenia, do mycia, całowania, wężania, do czkania, płakania, siąkania.

Igor Grycowski z wargami w „o” skamieniał, niby bajkowy królewicz pojął w ułamku sekundy, iż stoi przed nim istota, na którą czekał całe życie, i nie idzie nam o krasulę, skądinąd dorodną i wcale kusząco trzepoczącą długimi rzesami, nie do końca idzie nam nawet o Sonię, a bynajmniej nie o taką Sonię, jaką Sońka na co dzień była. Idzie o Sonię nową, nieodkrytą i zapomnianą, Sonię ekscytującą, której obecność wyczuł i wypatrzył Igor Grycowski, gdy niebieskie oko staruszki na nim, choć skroś Igora, spoczęło: najpierw z lekką obawą i niechęcią, a zaraz – przetarło się jak niebo i zblakło, rozbieliło i błysnęło.

– *Dobry dzień* – przemówiła *babuszka* – *sztos tałasos*⁸? – dodała, bo przecież i jej nieraz przytrafiało się niezaplanowane, bo i ją nieraz porzucano, łamano, kopano, świat nie zmienia się

⁸ Dobry dzień, sztos tałasos? – Dzień dobry, co się stało?

ot tak, ot nagle, a nawet jeśli zmienia się ot tak i ot nagle, to na pewno przecież nie na lepsze.

– Dzień dobry – odpowiedział Igor, chcąc zachować się na poziomie i z odpowiednim, miastowo-polskojęzycznym szykiem. – Samochód się popsuł niespodziewanie, a nie mogę się donikąd dodzwonić. – Po czym dodał, nie wiedząc czemu z zakłopotaniem: – Niemiecki. On jest stamtąd – wskazał ręką między auto a niebo.

Bezradność, szczerłość i uroda – dodajmy, iż obiektywnie nieprzesadna ani po oczach bijąca – młodzieńca ujęły Sonię tak szczególnie, że spontanicznie zaprosiła go na świeże mleko i wskazała kijem: najpierw na krowie wymiona, potem na dach chałupy, a w domyśle gdzieś pomiędzy jednym a drugim – na emaliowany kubek z koniecznym czarniawym obtłuczeniem. Królewicz skinął głową: – Chętnie, dziękuję. – Przepuścił Mućkę i kuśtykającą Sonię, przydeptał sandałkiem niedopałek. Poczłapał w stronę zagrody, zatopiony w narastającym zdumieniu.

Bramka ledwie trzymała się na przerdzewiałych zawiasach, skoślawiona i zarośnięta mchem: jak w obejściu siostry Baby-Jagi, siostry turpistki, co usunęła ładne i nowe poza zasięg swego wzroku. Igor powiódł oczyma po ubogim podwórku, po niebieskich *kastrulach*⁹ na sztachetach, garkach szczerzących dziury w zmroczonych od sadzy i cienkich od ognia dnach, po rozgdakanej gromadce pstrych kur, wyliniałym kocie śpiącym u progu, po kijach, miotłach, widłach i grabiach. Przekraczając bramkę, wkraczając w domenę Soni, Igor uzbroił się w magiczną różdżkę, by – na próbę, najpierw we własnym umyśle – odmienić los gospodyni.

I machnął różdżką: słońce wygasło, na widowni ucichły szmery, zaraz premiera, punktowy reflektor wydobywa z mroku zgarbioną postać. – Dawno, dawno temu – mówi Sonia, a zgromadzeni poddają się jej głosowi, wpatrują się w jej twarz, historia Soni wyrzuca ich poza nawias czasu, a potem owacja na stojąco (Igor trusio staje obok aktorki starsuszki, głowę pochyla ku czubkom swoich butów ze skromnością nieco zbyt fotogeniczną); przynajmniej kwadrans trwają oklaski, damy mdleją, kawalerowie nie wstydzą się łez w oku i na policzku wypięęgnowanym. Sukces.

Mućka przestępuje z kopyta na kopyto w stronę obory, Igor siada na ławeczce, Sonia musi podścielić, wydoić krowę, odcedzić mleko, zlać do bańki, bańkę wytoczyć przed dom, na ławkę, skąd zabiorą ją mleczarze, dlatego z wdzięcznością patrzy na klapniętego grzecznie jak królicze uszy chłopca: a jednak on nie tylko ładny, także myślący, myśli sobie. Sonia bardzo się cieszy, nie rozumie, skąd się to nagle cieszenie wzięło, a trzeba powiedzieć, że takiego cieszenia się Sonia nie czuła od dawna, od bardzo dawna.

A kiedy Sonia, jeszcze przed debiutem na deskach sceny, odgrywa jedyną dobrze opanowaną rolę: krząta się w oborze, wygrywa białe fugi mleka na ściankach wiadra, stęka i przyjacielsko klnie zwierzę (*Mućka, nastupisa, bladzina*)¹⁰, wtedy Igor skupia się na sobie, a konkretnie: na swoich pustkach, których różdżką magiczną nie udało się jak dotąd zamienić w szczęśliwą rodzinę, w markowe wartości, w wysokiej jakości standardy moralne ani w pewność, że po śmierci jest jakieś życie.

Bo po pierwsze, Igor Grycowski cierpi, i to głęboko jak jaskinia i szeroko jak ocean, w końcu ego ma ogromne. Gdyby chciał popełnić samobójstwo, mógłby na to ego wejść i skoczyć z niego. Bo po drugie, nie widzi jednego sensu. Cierpi na twórczą impotencję lub też tę drugą – immanencję. Nie widzi sensu w świecie, nie widzi w życiu celu, mimo aplikacji środków pomocowych: narkotyków, pornografii, literatury filozoficznej.

⁹ kastrule – garnki

¹⁰ Mućka, nastupisa, bladzina. – Mućka, nastap się, bladzino.

Nagle jakiś drobiazg, wspomnienie, okruszek, śmieć: uśmiecha się, wyjmując z paczki kolejnego papierosa.

Sonia, obrobiwszy się, stanęła w drzwiach, ściągnęła kalosze. – *Paczakajcie* – powiedziała, nim weszła do domu. Do stóp Igora przytulił się pies, stary i posiwiwały; łaścił się, śmierdział, na zniszczonej skórzanej obroży świeciły metalowe, stylizowane na gotyk litery. Z niejakim trudem, z obrzydzeniem do psa i pcheł, do bakterii i zarazków, także psiej starości, Igor złożył słowo: Borbus.

– Borbus – wymówił cicho, pies zaś podniósł na niego oczy, bursztynowe, niemal miodowe, z zatopionymi w żywicy tęczówki wspomnieniami odległej przeszłości.

W bajkach zwierzęta nie są po prostu zwierzętami, są istotami trochę niższymi od ludzi, a jednocześnie znacznie bardziej od nich klarownymi w swoich poczynaniach. Pies położył się na grzbiecie, teraz Igor zauważył, że Borbus jest suką.

Jestem Borbus, dwunasta suka o tym imieniu w linii prostej od Borbusa Pierwszego, zwanego Aryjskim, od ogromnego owczarka niemieckiego, który uratował mojej pani trzy razy życie. Raz odpędził wilki podchodzące nocą pod okna, raz wywęszył jamę z kartoflami, raz odwrócił uwagę żołnierzy – przeznaczone Soni kule zabiły Borbusa Pierwszego, mego ojca, a teraz ja, Borbus Dwunasta, zwana Ostatnią, opiekuję się moją panią, Sonią Białą. Nie miałam szczeniąt i mój ród wygasa, tak jak wygasa ród Soni, ona też nie ma już szczeniąt, zgaśniemy jednocześnie, mówię to ja, Borbus Dwunasta i Ostatnia; a anieli zstąpią i pokłonią jasne głowy przed moją panią, a ja wstąpię z nią między piaski niczego i będę ujadać na cześć nieobecnego Ojca. Alleluja. Hau, hau.

Igor poczuł zawrót głowy. Nie jadł dziś obiadu, a na śniadanie tylko suplement diety w postaci dwóch kresków kokainy o niewątpliwie niskiej wartości kalorycznej i takiejże czystości. Powieka przysłoniła suche oko, już nie bursztynowe, tylko jaskrawożółte, jak świeża jajecznicza, jak kaczeńce i wstążki na procesyjnych chorągwiach. Jestem w bajce, pomyślał, w bajce o życiu. W innej konwencji życie jest nie do zniesienia. Może jednak zostaną uratowani, albo choć solidnie przeredagowani?

Nim został uratowany, a później stracony, innego przecież końca nie będzie, żar z papierosa sparzył go w palce, pies poderwał się na łapy, zamerdał smętnie i poczłapał w stronę budy. Sonia pojawiła się w drzwiach.

– *Chadzi na małako, chadzi*¹¹ – powiedziała.

Igor powstał z ławki. Przed progiem zdjął zamśzowe sandały – tak bardzo nie na miejscu, takie miękkie, z ceną wyższą niż roczna renta. Zdał sobie sprawę, że od wielu już lat nie posiada znajomych, których odwiedza się boso; za dużo wszyscy zarabiają. Gołą stopą wkroczył do ciemnej, chłodnej sieni, pachnącej sfermentowanym mlekiem, słoniną i cebulą, sianem, kiszoną kapustą i dymem, potem, mydlinami i zbożem. Za kolejnym progiem kuchnia: malowany na niebiesko kredens, prosty stół, sterana cerata w kwiatki, dwa krzesła, wielki kaflowy piec z *leżajką*¹², niski stolik z wiadrzem wody, pomalowane olejnym brązem deski podłogi, w prawym kącie ikona, na pobielonych ścianach dwie makatki w języku dla Soni półobcym i w istocie obojętnym: „Świeża woda zdrowia doda” i „Jak gospodyni ugotuje, to wszystkim smakuje”.

– Pani nie ma kanalizacji? – zapytał.

¹¹ Chadzi na małako, chadzi. – Chodź na mleko, chodź.

¹² leżajka – część kaflowego pieca kuchennego, wykorzystywana do siedzenia i leżenia, spotykana w domach wiejskich i miasteczkach na Podlasiu

– *Pa szto?* – odpowiedziała. – Żeby mi chałupa zgniła od zlewu w kuchni? Żeby spać pod jednym dachem z własną kupą?

Gdy Igor przekraczał próg kuchni, Sonia zerknęła na niespodziewanego gościa i zrozumiała w błękitnym, jaskrawym jak czerwień gila olśnieniu, że tego gościa wypatrywała od wielu lat, od bardzo dawna, od końca wojny, który okazał się końcem jej życia. Wojna ją zniszczyła, lecz jej nie złamała. Zrozumiała, że patrzy nie na królewicza, tylko na anioła śmierci; że będzie mogła opowiedzieć swoją historię, wystawić swoje uczynki na zważenie. Zrozumiała, że z ostatnim słowem zgaśnie w niej słabe, pełgające światełko – i rozmawiali długo w noc, a potem nie żyli długo, długo i nareszcie szczęśliwie; poza pamięcią. Sonia zrozumiała, że dlatego tak bardzo się ucieszyła; dlatego że zstąpił w jej progi anioł najprawdziwszy, a nie wyżebrany w cerkwi, sam źródłosłów anioła, posłaniec, *malak*, wieść kończąca.

Wskazała na krzesło, królewicz zasiadł bez słowa, a ona, szczęśliwa, naląła mleka do emaliowanego kubka, na stole postawiła *ahłatki*, smażone rano mączne placki, *pyszki*, z kredensu wyciągnęła swój największy skarb, zarezerwowany dla najważniejszych gości, takich jak *baciuszka*¹³ albo Bóg: metalowe pudełko z czekoladkami.

Kupiła bombonierkę trzy lata temu, w kształcie czerwonego serca, z pięknym, złotym napisem: E. Wedel. Wcześniej przyglądała się temu pudełku chyba pół roku, było tak cudowne, tak drogie i nieosiągalne. Patrzyła na nie i wyobrażała sobie, że kiedyś czerwone serce znajdzie miejsce u niej w kredensie, na szydełkowanej serwetce, obok zębów. Marzyła o nim, śniła jej się po nocach, ślina ciekła na poduszkę – aż pewnego dnia poprosiła o czekoladki. Sklepowa, córka Irki z Mieszek, zdębiała: – *Wy, Sońka, zdureli!*¹⁴ – powiedziała. – Może i zgłupiałam – zgodziła się Sońka – mam jednak już swoje lata, mnie wolno, papiery mam rentowe od doktorów, a tobie wstyd.

Sonia zdarła folię z serca, by serce otworzyć: najpierw to czerwone ze złotym napisem i czekoladkami, a później to suche jak żołądź i nieme jak łabędź, spomiędzy żeber i bez podpisu twórców. Sonia matkę pamiętała tyle, co wykolone oko. Zmarło się matce w połogu, a był to czas, kiedy kobiece ciało nie odpoczywało; tak jak pola rodzić co rok musiało; z jajeczka bożego wzrastał nowy człowiek, wydostawał się na świat i najczęściej chwilę potem pozwałab zabrać do Nieba, o ile pop ochrzcił, a *Boh* przyjął; z nimi nigdy nie wiadomo, pazerni jeden z drugim. A przed wojną to samochodów nie mieli, a teraz to trzeba też paliwo im opłacać dodatkowo. Przed wojną *Isus Chrystos* był i tańszy, i dostępniejszy, no i *baciuszki* środek transportu żarł trawę, a trawa rosła za darmo.

Igor rysował stopą kółka na wielobarwnym, szydełkiem zrobionym *szmatniku*¹⁵, wypił łyk mleka, które przypominało to z kartonów jedynie kolorem, bo smak jakiś dziwny miało, smak i zapach ciepłego zwierzęcia, a nie sterylnych ciągów produkcyjnych. Sięgnął po czekoladkę z zielonkawą kruszonką na wierzchu, pewnie pistacje, pomyślał.

– *Patom razpalu u pieczy*¹⁶ – powiedziała Sonia i zasiadła naprzeciw gościa.

– Potem, w piecu – skorygował ją Igor w miastowym prawdziwym języku. Igor bowiem skrętnie ukrywał swoje dzieciństwo, zamalował je, konsekwentnie się go wstydził, skrupulatnie zapomniał, wyparł i pogrzebał. Dzieciństwo, które przepędził z dziadkami na nieodległej wsi. Nazywano ją i po dziś dzień nazywają Wysranka, bo tam, gdzie pradziadowie i dziadowie

¹³ baciuszka – prawosławny ksiądz, pop

¹⁴ Wy, Sońka, zdureli. – Wy, Sońka, zgłupielicie.

¹⁵ szmatnik – chodnik utkany na krośnie z pociętych w paski tkanin ze zużytych ubrań

¹⁶ Patom razpalu u pieczy. – Potem rozpalę w piecu.

mieszkali, kończył się świat, pewnie nie świat w ogóle, są końce świata z palmami, z górami lodu, z piaskiem pustyni, lecz ten mały kawałek podlaskiego świata właśnie tam znalazł swój kres: na linii sosen i ostatniej chałupy, jeszcze sprzed generała Sławoja, który podniósł poziom higieny za pomocą ukazu o obowiązkach każdej dupy.

Otóż generał Sławoj uznał, że w odrodzonej Rzeczypospolitej także dupa ma swoje niezbywalne i wolnosiedzące prawa: do nich należało prawo spokojnego srania w wolnostojącym, skleconym z desek domku – w świątyni kupy, zwanej sławojką. Jednakże przed ukazem ludzie szli między drzewa na granicy wsi, właśnie w Wyrance, hołdując zasadzie, że dupa ciągnie do cienia, jak wilk ciągnie do lasu; i uwaga pod nogi!

– Smaczne placki – powiedział z pełnymi ustami królewicz. Sonia uśmiechnęła się w odpowiedzi, a uśmiech miała kompletny, albowiem zęby z kredensu zawędrowały na właściwe miejsce. – Jestem Igor – powiedział, nie wspomniał jednak o swoim królestwie, o Warszawie i deskach sceny, o szklanych wieżach i narąbanych chemią oraz alko księżniczках, o widzach i pustce dotkliwszej nad przytyki recenzentów.

Jestem Igor, mam na koncie to i tamto, z nagrodami takimi i owakimi włącznie, nie licząc nominacji, które też przecież się liczą, tu nie, tam – tak. Jestem Igor, wielbiciele dają mi numery telefonów, a przeciwnicy kpią i spiskują za plecami, a noce są długie i rozjarzone łuną miejskich świateł. Jestem Igor, niczego tak naprawdę nie dokonałem, wszystko jest popiół, popiół jest wszystkim, jest wszędzie, w płucach i na nosie, pod powiekami i w ustach, drapie w gardle jak papierosowy dym, i tak już będzie do końca: starczy dmuchnąć w kupkę i nawet the endu nie będzie.

Mam drogie mieszkanie, w mieszkaniu antyki, a na antykach ani śladu kurzu, dzięki Ukraince, która przelatuje wszystko co tydzień ścierką, i jestem jedynym nieprzelecanym przez nią obiektem fizycznym w moim mieszkaniu.

Jestem Sonia, moja suka, Borbus Dwunasta i Ostatnia, zwie mnie Białą, dla siwych włosów, tej resztki, co wetkana jest w kanwę czaszki. Mam krowę Mućkę, psa, trochę kur i kota Jozika, nie mam bliskich, nie mam majątku, nie mam nic, nic to jednak nie szkodzi, bo przecież niczego ze sobą nie będę mogła zabrać w ostatnią podróż: ni Mućki, ni Borbusa, ni Jozika; na co mi inne, skoro tego, co mam, nie wezmę ze sobą?

Właśnie tak mogliby przemówić do siebie po raz pierwszy – Igor znad placków, Sonia z ostrożnie wybraną czekoladką w kościstych palcach; pierwsza wersja została później przepisana wiele razy, bo niewypowiedziane słowa nie przestają być słowami, a niewysrane gównem. Taka jest natura wszechrzeczy.

Sierpień czterdziestego pierwszego, milion z hakiem lat temu, jak gdyby przed Potopem, dawno, dawno temu. Byłam młoda, miałam dwóch braci, starszych ode mnie, Witka i Janka, miałam całe życie przed sobą, spracowane ręce, małe radości, skryte uczucia, lubiłam zwiijać język w tutkę, a włosy w warkocz zaplatać. Nawet ojca nie potrafiłam tak do korzenia nienawidzić. – *Dzicia lubi jak duszu, a trasi jak hruszu*¹⁷ – mówili, zanim zaczęli bić, wołałam jednak, żeby mnie bili, niż kochali, w końcu bicie znieść łatwiej od kochania ze strony własnego ojca, zwłaszcza gdy kocha, odkąd tylko zakwitłam. Ojciec czaił się na mnie od małego. Zabił moją żonkę, teraz odpokutuj, mówili. A ja przecież matki nigdy bym nie skrzywdziła! Ja jej nawet nie znałam!

Takiego sierpnia nawet najstarsi nie pamiętali, wszystko rosło ciężkie, dorodne, wydawało się, że temu rośnięciu nie postawiono granicy, jakby dobry Bóg postanowił przeskalować świat, postanowił, że od tamtego sierpnia wszystko będzie większe. No i było, nawet ja sama zaczynałam bujać w obłokach, tak niebo się ugięło pod ciężarem gwiazd, że opierało się o chustkę, co ją na głowie miałam zwiiazaną na karku albo pod brodą. Tamtego sierpnia słońce prawie nie zachodziło, rzeka prawie nie płynęła, więcej w niej było ryb i raków niżli wody. Pszczoły wracały na łapkach do uli, po piachu i trawie, objuczone pyłkiem tak, że nijak wzlecieć nie potrafiły. Kury znosiły kopy jaj, a każde z dwoma żółtkami i pisklakiem. Żarna chodziły gładko i lekko, tłuste od gorąca. Żyto i kartofle w trzy dni fermentowały, a upijały w kwadrans.

Tak łatwo nigdy wcześniej nam się nie żyło: ani w Prusach, ani w carskiej czy sowieckiej Rosji, ani w jaśniepańskiej Polsce, oznajmiali *staryki*. Wiedzieliśmy, że teraz jesteśmy poddanymi Hitlera Adolfa, tak niosła plotka, że Adolf Hitler jest złem wcielonym, jest złem, bo nienawidzi nas i naszych sąsiadów, chociaż równocześnie w ogóle nic o nas nie wie, nam to jednak nie przeszkadzało, nowa wojna bowiem obeszła szerokim łukiem nasze wsie. A był to czas wielu wojen, z których żadna nie była naszą. *Palaki* biły się z Niemcami i Ruskimi, teraz Ruscy z Niemcami, nas jednak niezbyt to dotyczyło, bo my nie ichnie, my niczyje, my samoswoje, może dalej, w Białymstoku, ale nie tutaj, może trochę w Gródku, ale nie w Królowym Stojle. Koniec świata ma do siebie to, że wojna dociera tam rzadko, najczęściej w formie obszarpanych uciekinierów, koślawych pogłosek i przetaczającego się po horyzoncie grzmotu; jeśli jednak już dociera, to w przerażającej postaci. Dopiero później mieliśmy tego doświadczyć.

Tamtego dnia, obrobiwszy się w obejściu, wyszłam na ławkę, samojedna, bo bracia zapadli się pod ziemię, pewnie z dziewczkami od Gryków, a ojciec poszli po sąsiedzku, do sąsiada. Siedziałam tedy sam na sam na ławce, słońce splatało warkocze z promieni, wygrywało blaski na drewnie i dźwięki jak kornik o mięksiz, na zielonych liściach i mojej sukience w drobne niezapominajki. Bo – nie wiem, co mi strzeliło do głowy – ubrałam najlepszą sukienkę, tę od chodzenia do cerkwi, na wesela i pogrzeby. Naprawdę nie wiem, co mi przyszło do głowy. Siedziałam: czysta i wystrojona, trochę smutna i sporo zmęczona, bez pomysłu, jak dożyć własne życie. Ojciec nie chcieli mnie wydać za przyzwoitego *muszczy*¹⁸, byłam mu potrzebna za matkę.

Gdyby ojciec mnie zobaczyli, dostałoby się i mnie, i mojej matuli, świętej już pamięci, ojciec jednak poszli do sąsiada, a to oznaczało, że wrócą po zmroku. Najpierw poczułam

¹⁷ *Dzicia lubi jak duszu, a trasi jak hruszu.* – Dziecko kochaj jak własną duszę, a trzęś jak gruszę.

¹⁸ *muszczy* – mężczyzna

delikatne drzenie powietrza: ciężkie, przejrzyste warstwy falowały, zaczęły się rozwarstwiać, odklejać od siebie jak szkliwo od zębów, tracąc przejrzystość. Powietrze matowiało. Potem – mówię: potem, lecz to było dawno, dawno temu – potem z piaszczystej drogi wzbijały się malutkie słupy pyłu, który pozostawał w górze, podrzucany ciągle, jakby droga była takim sitem odsiewającym ziarno od plew, jakby ktoś od spodu wydmuchiwał przez pustą słomę trąbki powietrzne.

Usłyszałam dźwięk podobny do tego, który wydaje wielki wyrojony rój, poszukujący miejsca na ul. Dźwięk narastał, przybliżał się, a słupy pyłu wirowały, układając się w szarobure, niejasne kształty; w kłębki z kota, którego lubiłam czesać. Przestraszyłam się. Ziemia dygotała, a huk silników, zgrzytanie trących o siebie kawałków metalu eksplodowały nagle jeszcze potężniej, gdy zza zakrętu wyjechała szara ciężarówka, a za nią kolejna i kolejna. Pełzły też półgąsienicowe transporterzy, no i strach, jak dżdżownica przecięta szpadłem, paniczny.

Wydawało się, że znikły kolory, że wszystko posypano popiołem. Spojrzałam na materiał mojej najlepszej sukienki – już nie odświętny, w drobne niezapominajki, tylko zabrudzony, zwyczajny: kwiatki zwiędły, rabatkę posypano popiołem. Rozpłakałam się i chyba te łzy zmyły ze świata szarość i popiół, bo odważyłam się spojrzeć na twarze mężczyzn siedzących na pace ciężarówek, w szoferkach, na transporterach.

Bardzo wydawali mi się podobni jeden do drugiego, jak gdyby wydała ich na świat ta sama, wielka i pracowita matka. Mieli pięknie ciosane twarze z różowozłotej skóry, jasne włosy mieli jak ramka ikony i oczy w kolorze materiału mojej sukienki. Mieli atletyczne ciała. Wyglądali wspaniale, groźnie i szlachetnie. Wyglądali, jak gdyby zgubili się w tym zakątku świata, jak gdyby znaleźli się tu przez pomyłkę, wypadli na chwilę poza prawdziwą historię, przemienili w błąd, w plotkę jeszcze niepowtarzaną z ust w ucho.

Te słoneczne twarze rozciągnęły się w smugę światła, potraciły szczegóły. Nim opadł pył, zwracając kolory, zatrzymał się przede mną motocykl: taki wielki, co miał z boku trzecie koło i taką niby kotłyskę, polerowaną czarno, podobną do odwłoku jakiego chrząszcza. Z motocykla zeskoczyła postać. Przeżegnałam się trzykrotnie i spuściłam oczy, bo wydało mi się, że to diabeł albo jego pacholek: cały w czarnej skórze, nawet twarz przykrywały dziwne okulary, a ogona nie dostrzegłam, ponieważ stał do mnie przodem.

Zbliżył się do *tawaczki*, zatrzymał, widziałam czubki jego zakurzonych butów. Zaczął coś mówić, mówił jednak szkaradnie, ni w ząb pojąć nie mogłam, czego chciał, mówił w jakimś piekielnym, charkotliwym narzeczu; w tym jego języku trzaskały pnie młodych brzoź, łamały się krokwie i nic z niczym się nie wiązało, tylko wszystko ze wszystkim rozłączało. Prosiłam *Boha*, żeby zabrał ode mnie nieczyste, prosiłam i prosiłam, zaciskając powieki, aż wirowały mi przed oczyma pomarańczowe bochenki chleba. Dopiero później wszystko ucichło, a ja poczułam dotyk obcej, nagiej skóry. Zapach krochmalu. Pomyślałam, że to moja matka wróciła, aby unieść moją twarz w stronę drogi. Że już zło oddalone, wymiecione matczyną spódnicą do szczętu: z motocyklem i czarną figurą.

Pozwoliłam obcej, nagiej skórze, ujmującej mnie pod brodą, skierować moją twarz do słońca. Wtedy moje oczy zapadły się w innych: najbardziej błękitnych, głębokich i wesołych, ogromnych, błyszczących i przeraźliwie smutnych. Pomyślałam, że tak musi wyglądać morze, o którym słyszałam kiedyś od Żydów w Gródku. Tak właśnie pomyślałam, woda bez końca, nie da się jej przepłynąć, trzeba utonąć, a chwilę później zaczęłam szlochać, zrozumiałam bowiem, że jestem zaczarowana, zniewolona i zakochana, na dobre i złe. Zrozumiałam, że *Haspodź* przystawił właśnie pieczęć, wachałam wosk pieczęci. Pan połączył nasze losy, jego w czarnej skórze i mój w kwiecistej sukience.

Mężczyzna, wskazując dłonią na własne serce, powiedział:

– Joachim.

Patrzył na mnie.

– Joachim – powtórzył. – *Und Sie?*

Poczułam, że się czerwienię. Jeszcze parzył mnie pod brodą dotyk jego skóry. Jeszcze piekły ślady po łzach.

– Sonia – odpowiedziałam najciszej, jak to możliwe, on jednak usłyszał.

– Sonia – uśmiechnął się. – *Sehr gut.*

Podszedł do tej czarnej kołyski z boku motocykla i coś z niej wyciągnął. Podał mi śpiącego kudłatego szczeniaka: mały, rudo podpalany wilczur. Podał mi piękną, skórzaną obrozę.

– *Sonia und Joachim* – powiedział, po czym wsiadł na motocykl i odjechał, wzbijając kłęby pyłu.

Zostałam ze śpiącym psiakiem. Nie wiedziałam, co zrobić. Czułam się jak ziarno posiane na polu kamieni. Obracałam w palcach obrozę, próbując odczytać dziwnie stylizowane litery. Nie byłam biegła w czytaniu, tyle co pop poduczył, no i to nie były litery, jakie znałam, bo u nas w cerkwi bukwy przypominają krzeselka, jakimś jednak cudem udało mi się odczytać.

– Borbus – powiedziałam, a szczeniak podniósł wtedy na mnie pysk.

Tak otrzymał imię. Borbus Pierwszy.

– Borbus – powiedział w przestrzeń Igor.

– Borbus – powtórzyła za nim Sonia i wstała ze stołka, żeby dolać mleka.

A za oknem rzeczona Borbus, Borbus Dwunasta, cicho zaskomlała w słońcu. Igor odłożył w głowie długopis, kartkę papieru, smartfon, dyktafon i e-wyciąg z konta, gdzie zapisywała się opowieść Soni. Zastanawiał się, czy nie należałoby mocniej zaakcentować tamtejszej bądź tutejszej – zależy, czy patrzeć z zajmowanego teraz miejsca, czy raczej z Warszawy – gwary, czy nie wyeliminować pewnych związków, metafor, porównań, nazbyt miejskich, na które Sonia nigdy by nie wpadła. A może by i wpadła?

No, ale, myślał, muszę położyć nacisk na uniwersalny charakter tej historii, tej opowieści, którą przeczuwam, lecz której jeszcze nie poznałem. Ta historia musi być zrozumiała przede wszystkim dla innych, wtedy stanie się zrozumiała też dla mnie.

Przełknął odrobinę mleka.

– Więc pani nazywa się Sonia – powiedział. – Ja jestem Igor. Igorek.

Sonia pomyślała, że takie imię nie istnieje, nie tutaj. Może jakiś *Ihar*?¹⁹ W Soni języku nie występowała głoska „g”. Nic to, szczerząc w uśmiechu piękną protezę i wskazując gruzłową dłoń na własną pierś, rzekła:

– Sonia. Sońka.

Poznaliśmy swoje imiona, pomyślał, z pewną poprawką na kłamstwo.

A potem naszły go niewesołe myśli.

¹⁹ *Ihar* – Igor

Sonia milczała. Czuła szczęście i zadowolenie, rozlewające się po jej zapomnianym i odstawionym na bocznicę ciełe. Znowu w sierpniu wydarzy się coś ważnego, coś ponownie ostatniego. Wstała i z kufra w sypialni wydobyła jakiś gałganek, który z zawstydzeniem podała gościowi.

– *Na, pahladzi*²⁰ – głośno powiedziała.

Gość nie spieszył się z rozwinięciem zawiniątka. Najpierw ważył je w dłoniach, trochę zdziwiony, a trochę zaintrygowany. Nie ważyło wiele, tylko że to, co ważne, nie waży wiele, zupełnie jak to, co nieważne – dlatego tak łatwo pomylić jedno z drugim, poplątać i się zgubić.

Igor spojrzął na zetlałą tkaninę. Trzymał bukietik ususzonych kwiatów, brudną poszarpaną szmatkę z wielką brązową plamą. Skupił wzrok na tej plamie: kawa, kakao?

– *Heta jaho krou*²¹ – powiedziała cicho Sonia.

²⁰ Na, pahladzi. – Masz, popatrz.

²¹ Heta jaho krou. – To jego krew.

Dałam szczeniakowi mleka z rozmoczoną pajdą chleba. Bałam się, że ojciec nie pozwoli zatrzymać prezentu. Wrócili bardzo pijani, tak pijani, że nawet nie zabrali się do bicia, tylko zwalili na siennik, zasnęli twardym snem, a ja pragnęłam, żeby ten sen był kamieniem młyńskim u ojcowskiej szyi, żeby go ten kamień pociągnął w głębiny, żeby ojciec poczuł noc i zimno, nietoperze we włosach i pijawki na powiekach, żeby się przestraszyli i wypłynęli odmienieni – lepsi dla Janka i Witka, lepsi dla mnie i *żywiny*²².

Bo mój ojciec diabeł. Diabły w nim załęgnięte, takie bardzo pracowite i rozmodlone. Nie wyróżniali się ojciec od innych ojców, tu po wsiach diabłami tak gęsto nasadzone, że wielbłąd nie przecisnie się do raję.

Nie mogłam zasnąć. Wszystko się we mnie zmieniło. Dlatego wyszłam przed dom, na ławkę, gdzie siedziałam kilka godzin wcześniej: dawno, dawno temu. Złamałam nakaz ojca. – *Pa noczy tolki katy i bladzi łaziac*²³ – mawiali. Bałam się tej samowoli, mocniej jeszcze bałam się własnej odwagi. Wszystko się we mnie zmieniło. Byłam taka sama i kompletnie niepodobna, wywrócona jak sukienka na lewą stronę. Bardziej lękałam się przyszłości niż furii ojca, bo furie znałam, a przyszłości – nie. Patrzyłam w niebo. Patrzyłam na kopułę z milionami gwiazd. *Moj Haspodź*, modliłam się, masz miliony gwiazd, daj mnie jedną, najmniejszą, strąć ją palcem czy kichnięciem, a ja pomyślę życzenie. Jedna najmniejsza gwiazda, może być obtłuczona, błagam, daj mi.

I widać moja matula musiała się za mną wstawić u *Świataho*, bo wybrał którąś z gwiazd, może i nie dużą, porządnie jednak zrobioną i prawie nową, i ją spuścił na ziemię. Zaciśnęłam oczy i pomyślałam życzenie. Długo jeszcze zaciskałam oczy, a moje życzenie wypaliło ogniste znamię w sercu. To było życzenie jak wieko trumny. To było krótkie życzenie: najwyżej jedno słowo, pewnie mniej.

²² żywina – zwierzęta w gospodarstwie

²³ Pa noczy tolki katy i bladzi łaziac. – Nocą tylko koty i bladzie chodzą.

– Joachim – Igor przywołał spokojnym głosem echo żarłocznego i nieszczęśliwego życzenia Soni.

Sonia patrzyła teraz rozszerzonymi oczyma na miastowego młodzieńca, złotawego i łysiejącego, z zakolami jak leniwa rzeka, chłopca o eleganckim zapachu i bez plam potu pod pachami, który starzał się był, stając coraz bardziej przejrzysty i jakby mądrzejszy z każdą minutą. Chłopca, który przybył z niewidzianej dali, żeby wysłuchać, zrozumieć i pożegnać Sonię. Chłopca, który miał w sobie coś takiego, że chciałoby się zabrać to do domu, chociaż nie wiadomo, czy na dłużej.

Sonia patrzyła i napatrzeć się nie mogła, nozdrza wciągały zapach krochmalu sprzed miliona lat, oczy widziały tamtą gwiazdę sprzed Potopu, bardzo solidnie zrobioną i na pewno nieobtłuczoną, koniec końców życzenie – najwyżej jedno słowo, pewnie mniej – spełniło się natychmiast.

A z jej prawego oka, z którego lata starły kolor, popłynęła wielka łza. Nie toczyła się żywo: najpierw wolno się formowała, formowała, aby z trudem się oddzielić. To nie była przezroczysta łza, tylko mlecznobiała. To nie była mokra łza, tylko nieznacznie wilgotna. Ta łza tak naprawdę była grudką soli. No i ona maszerowała zmarszczkami Soninej twarzy, jak gąsienica po starym, wykręconym liściu, bez nadziei na przepoczwarczenie czy przepotwarzenie, aż wreszcie, ominąwszy usta, spadła z brody na podłogę, gdzie rozprysła się w solny miąż.

A kiedy ze łzy pozostał proszek, wtedy do prawego oka Soni powrócił kolor. Stało się błękitne: błękitem głębokim i wesołym, błyszczącym i smutnym.

– Ma pani oko Joachima – wyszeptał Igor.

– *A ty majesz krou na rukach*²⁴ – odpowiedziała.

Igor spojrział na trzymane w dłoniach zawiniątko. Nie było już brudnej szmatki z wielką brązową plamą. Patrzył na cieniutkie płótno. Z sufitu (tak pomyślał Igor) skapywały krople, dach przeciekał, wypełniając wyschniętą plamę krwi świeżą krwią; historia bierze nową daninę; historia jest jak pijawka. Dopiero po dłuższej chwili Igor zdał sobie sprawę, że to nie z sufitu, lecz z jego nosa pochodzi świeża krew.

– Przepraszam, powinienem się na chwilę położyć. Przepraszam.

Z zadartą głową ukląkł, a potem wyciągnął się na chodniku w kuchni. Na wznak. Sonia przyniosła mu poduszeczkę. Z białej ścierki, zamoczonej w lodowatej wodzie, zrobiła okład.

²⁴ *A ty majesz krou na rukach. – A ty masz krew na rękach.*

– *Laży, ja raskażu*²⁵.

Krwawienie ustało, Igor zamilkł, w głowie pisała mu się niedookreślona historia, czarne literki i jupiterów światła, uwagi do scenografa i złość na oświetleniowca, a on przecież tylko leżał na wielokolorowym chodniku; pająk na suficie obserwował sześcioma oczyma smukłą sylwetkę, wyciętą z tęczowego *szmatnika*. Sonia oblizywała palce. Czekoladka okazała się słonawa, egzotyczna jak morze i roztopiająca się na skórze; pyszności.

Sonia otworzyła okno. Na stół wskoczył kot, tak stary jak Sonia, składał się z blizn i kłaczków sierści, ze wspomnień przegranych walk i marzeń o zwycięstwach, z alegorii ogona, z tożsamości pozbawionej pojęć, takich jak naród czy gatunek, za to pełen ssaczego optymizmu, że koty nie różnią się od siebie więcej niż maścią. To był najbrzydszy kot nie tylko w Królowym Stojle, lecz w całej Europie. Był to też jeden z sześciuset sześćdziesięciu sześciu kotów na świecie, dożywających właśnie końca dziewiątego życia. A kot dożywający końca dziewiątego życia nie jest po prostu kotem, zabójcą szczurów i głośnikiem, z którego dobiega mruczenie w sam raz pożądane na ludzkie stawy. Jozik w piątym życiu zasłużył na szlachetny tytuł Pasterza Myszy, a takich kotów żyło w historii nawet mniej niż rzymskich papieży.

Kot Jozik wygiął grzbiet w łuk kaleki jak przełamana podkowa. Sonia położyła na nim dłoń i przymknęła oczy. Jozik zamruczał krótko i oszczędnie. Nie zależało mu na pieszczotach; bardzo już oddalił się od seksu, nawet tego głaskanego z włosem. Wiedział, że jego pani, Sonia Kulawa, kocha swego kota Jozika. Dlatego postanowił trwać w postanowieniu z pierwszego życia, a postanowił wtedy strzec swej pani i nie spuszczać z niej oka. Zeskoczył na ziemię. Przeszedł obojętnie po ciele Igora, w którym wyczuwał niepokojący ślad kogoś jeszcze, i zwinął się w kłębek na *leżajce*. Stąd miał dobry widok na kuchnię i – przez szybę – na podwórkę. Patrzył na Sonię, patrzył, a po chwili zasnął, bo nie był już kocurem zainteresowanym światem: miał na karku dziewięć żyć i trochę przegowanej sierści – to skłania każdą rozumną istotę do snu.

²⁵ *Laży, ja raskażu*. – *Leż, ja opowiem*.

Bałam się otworzyć oczy. Coś ocierało się o moje nogi. Mruczało. To był kot Wasyl, podobny do Jozika jak kot do kota, tyle że miał jedną białą plamkę na brzuchu, a Jozik ma ich dziewięć. Wasyl na wiosnę szedł do lasu, zawsze chodził, przed zimą wracał spasiony, od dobrych trzech lat. Ojciec odgrażali się, że Wasyla utopia, zbyt był jednak Wasyl czujny albo ojciec zbyt pijani – kończyło się na pogróżkach, ciskanych kamieniach i wymiaukiwanym oburzeniu.

Bałam się otworzyć oczy. Gwiazda pewnie spadła. Nie wiedziałam, kogo prócz kota przyniosła. Poczulałam ciepły oddech na policzku. Pachniało truskawkami, słodką śmietaną i cukrem. I to jak pachniało! Nagle naszedł mnie straszliwy głód. Głód na słodkie i na krew! I konałam z głodu! Wciągało mi kiszki do jakiegoś leja w moim brzuchu, po drugiej stronie pępka i świata. Głód mnie zasysał jak cmoknięcie do wewnątrz.

Sonia roześmiała się na wspomnienie tego głodu, co ją wziął w posiadanie pewnej sierpniowej nocy czterdziestego pierwszego roku (dawno, dawno temu, chwilę przed Potopem) i potem odnawiał się, kilka nieraz razy dziennie, przez lata.

Sonia śmiała się srebrzyście, niby mądra i szlachetna westalka, podtrzymująca czarny ogień, niby nieprzejednana strażniczka tajemnicy, niby dokazujące dziecko. Bo Sonia wiedziała, że ten zapach wyzwolił inny głód: głód, którego istnienia się domyślała, głód, który podpatrywała u braci, u Janka i Witka, no i u ojca. Ojca głód jednak zżerał, a ją tak podobny głód sycił.

Sonia śmiała się śmiechem młodym i zaraźliwym, jak gdyby młodość była zaraźliwa, jak gdyby Sonia zaraziła się młodością od Igora, który tymczasem, wyciągnięty na kuchennej podłodze, zaraził się od Soni śmiechem i stawał się coraz cieńszy, bardziej prześwitujący. Skóra mu prześwitowała coraz mocniej na kogoś innego.

Śmiali się razem tak zgodnie, że Borbus Dwunasta zamerdała, a Jozik Pasterz Myszy podniósł powiekę, a na niej kilka ostatnich rzęs, by sprawdzić, czy już skończyło się jego dziewiąte i ostatnie życie.

Truskawki, słodka śmietana i cukier – pachniało powietrze na moim policzku jak na talerzu, pachniało jak obietnica deseru. Otworzyłam oczy. Stał przede mną w czarnym mundurze, zresztą noc była, kolor nie miał nic do rzeczy. To ja podeszłam do niego i wzięłam za rękę. Przebiegł mnie prąd. Wypowiedziałam cichutko moje życzenie, na wdechu: Joachim. Wypełniało mnie szczęście; szczęście rozsadzało mnie jak oddech nadmuchaną żabę, ulewało się poza mnie, biegło na pola i łąki, biegło do lasu i pod pierzyny. Maszerowały po mnie ścieżkami mrówki, tylko od spodniej strony, pode mną, od skóry, tej schowanej we krwi.

Strzepnęłam z jego ramion srebrny pył. Palcami wodziłam po jasnej twarzy. Wtedy mnie objął. W moim mózgu eksplodował kulisty piorun. Upadliśmy na ziemię, niby rażeni pociskiem. Nawet przez myśl mi nie przeszło, że powinniśmy się ukryć. To była przecież noc mojego życzenia. Nic nam nie groziło. Leżeliśmy obok ławki, całując się, wyszarpywaliśmy sobie kawałki nagiego ciała spomiędzy ubrań. Wiedziałam, że nikt nas nie dojrzy, choćby zatrzymał się na wyciągnięcie dłoni. Noc mego życzenia skryła nas jak spódnice matuli.

Próbowałam nie krzyczeć, płakałam, nasze skóry krzeszały iskry. Przyklepieni jak magnesy, zlepieni jak spółkujące psy.

Tak oto przypieczętowaliśmy własny los. Świeża pieczęć Stwórcy zastygała, gdy leżeliśmy obok siebie. Pachniało woskiem i kadzidłem, pachniało popiołem i palonym ciałem. Wydzielinami, których nazw nie znam. Myślę, że już wtedy – dawno, dawno temu – że już wtedy rozumieliśmy: ten początek, ta noc spełnionego życzenia, moc połączonych ciał, to jest nasz koniec, początek upadku.

Modliłam się żarliwie, by ten upadek trwał długo, lata i dziesiątki lat, żeby Niemcy wygrali i pozostali na zawsze, tym razem wszakże mądry *Boh* nie uronił gwiazdy, spoglądając na nasze szczęście.

Nieszczęście dojrzywało w nas, lecz byliśmy gotowi zapłacić każdą cenę za drugą osobę i wspólny czas; nawet cena wyższa od najwyższej – to nie byłoby drogo. Nawet nieprawda, zdrada i upodlenie. Nawet skłamana spowiedź i rozdarty materiał sukienki. Nawet to.

Sonia westchnęła. Powiedziała więcej, niż myślała, a myślała mniej, niż czuła. W istocie te wszystkie oceny własnego losu niezbyt Sonię obchodziły: słowa słowami, a zabici pozostają zabitymi.

Leżeliśmy przytuleni. Nic nie zakłócało ciszy. Słyszałam tylko chrapanie ojca przez ścianę chałupy. To była najszczęśliwsza noc w moim życiu. Nie rozmawialiśmy, bo i po co, musielibyśmy gadać do siebie z różnych języków. W ogóle z Joachimem prawie nigdy nie rozmawialiśmy.

To nieprawda, że zakochanym czas mija w okamgnieniu. Czas płynie inaczej, jednak nie przyspiesza. Oczy patrzą ciężko i uważnie. Powieki ciężą. Każda wspólnie spędzona minuta wydaje się dłuższa, większa i głębsza niż rok spędzony samotnie. O, tak, każdą naszą minutę dokładnie pamiętam, mogłabym opowiadać godzinami, co wtedy czułam, co się stawało, co pachniało, co pohukiwało, który pies w której zagrodzie zaszczekał i w które miejsce łaskotały mnie żdźbła. Każda wspólnie spędzona minuta była małą wiecznością, idealnym światem. Każda minuta spędzona osobno była jak wyrzucona w błoto, zepsuta i niewiele warta.

Kochałam tak do końca, do granicy, za którą już tylko nic. Kochaliśmy się tak bardzo, że czas płynął tylko wtedy, gdy byliśmy razem. Jakbyśmy sami byli czasem. Poza nami czas nie istniał, nic a nic.

Joachim odszedł. Ja nie zmrużyłam oka. Podniosłam się, zanim zapał kur. Wypuściłam kury, nasypałam ziarna, wybrałam jajka, wydoiłam Malinę i Zorke, które Janek poszedł później paść na łąki i w lasy. Rozpaliłam *u pieczy*, nanosiłam wody. Uduśiłam kartofle świniom w saganie. Potem dałam mleka Borbusowi i Wasylowi. Przygotowałam *taukanicę*²⁶, to takie rozduszone i zapieczone na *plicie*²⁷ ziemniaki z drobnymi skwarkami, jeśli skwarki były...

Ojciec i Witek poszli na grzyby. Robiłam to co każdego ranka, chociaż po raz pierwszy nie odczuwałam zmęczenia. Świat dokoła mnie stał się prześwitujący, półprzezroczysty, z puchu, z gęgania gęsi, z kwakania kaczek, a czy takie prześwitujące, pierzaste wiadro może ważyć tyle, co prawdziwe?

Myślałam o Joachimie, o najbliższej nocy, którą spędzimy razem. Bo tylko będąc razem, sprawialiśmy, że świat odzyskiwał kolor i ciężar, fakturę i zapach, prawdę i cel, piekło i niebo. Bez Joachima świat przypominał te wasze dzisiejsze torebki foliowe: licho wykonany, jednorazowy i uporczywy – taki, że nijak się opędzić.

Dzień wypełniony różnymi zajęciami skończył się szybko, nawet nie zdążyłam porządnie wspominać tego, co przeżyliśmy z Joachimem zeszłej nocy. Dotarłam ledwie do chwili, gdy w mojej głowie eksplodował kulisty piorun, raził mnie pocisk. Ojciec i bracia, zmęczeni ciężką robotą, nie zauważyli chyba we mnie żadnej zmiany. Ojciec zapytali tylko, kopiąc małego Borbusa, który przeleciał ze skomleniem ze dwa metry: „*Skol heta barachło?*”²⁸. Opowiedziałam o Niemcach, a on po prostu splunął. Nic nie powiedzieli. Ani słowa.

Nie wiedziałam, co ojciec myśleli: bali się odrzucić prezent? Cieszyli się z nowego psa? Nie wiem. Niutka z sąsiedniej chałupy kiedyś opowiedziała o mojej najstarszej siostrze Tomie. Nie poznałam jej; ona – mając trzy latka – zachorowała. Matka chciała posłać po szeptuchę, ojciec tylko splunął. Toma zmarła jeszcze tamtej nocy. Pomyślałam, że tym splunięciem ojciec wydali wyrok na Borbusa, tak jak wcześniej wydali na moją siostrę. I postanowiłam, że wbrew wszystkiemu, choćbym miała opuścić dom i pójść w niełasce do obcych, nie pozwolę, by psu

²⁶ taukanica – ugotowane i roztluczone ziemniaki, zapieczone na płycie pieca

²⁷ plita – płyta na piecu

²⁸ Skol heta barachło? – Skąd to barachło?

stała się krzywda.

Nie wiem kto, dobry *Boh* albo matka, kto ubijał wszystko jak w maselnicy, smarował tryby kaźdonocnej ciemności, żebym mogła wymykać się z chałupy i wmykać niepostrzeżenie jak piskorz z ręki do wody. Widywaliśmy się z Joachimem po zmroku, najczęściej niedaleko drewnianego mostu wiodącego do Słuczanki, a potem szliśmy: na łąki, do lasu, nad rzekę, w stodołę, w stogi. Joachim stacjonował w Waliłach, po miesiącu przeniesiono go do Gródka, a kilometry, które nas dzieliły, pokonywał zupełnie zwyczajnie, bo konno. Siwy wałach nosił imię Pegasus. To pewnie niemieckie imię, zarekwirowane komuś, mimo to ładne, czuje się w nim pióra i ruch. Podobało mi się, wszystko mi się wtedy podobało: od ładowania *wiłami*²⁹ gnoju, przez karmienie świń, po wieczernie w cerkwi; a szło się na piechotę wiele kilometrów albo jechało furą.

Przez dwa tygodnie prawie nie jadłam i nie spałam. Dniem pracowałam, nocą widywałam Joachima. Nigdy później tak nie pachniała *krapiwa*³⁰ na bagnach, nie piszczwały nietoperze, nie oślepiały skrzydła ciem. Świat, chociaż oglądany nocą, był ostry i wyraźny. Czasami Wasyl odprowadzał mnie aż do mostu. Słyszałam, jak uważnie przestawia łapki. Czekał ze mną na Joachima, patrzył zielonymi oczyma, by gdzieś zniknąć.

Po dwóch tygodniach tego pracowania i niejedzenia, po dwóch tygodniach stało się dla ojca, dla Janka i Witka, dla sąsiadów jasne, że coś się ze mną dzieje. Stawałam się podobna do świata dookoła, to znaczy do takiego świata, jakim był bez Joachima, do świata wywróconego jak kaftan tyłem na przód: półprzejrzysta, prześwitująca, z topolowego puchu i ze szwami po wierzchu. Nawet nie mogłabym ugniatać nogami kapusty, bo jak się nie waży, to długo można deptać poszatowane liście, jak się nie wierzy, długo i próżno można klepać *Wieruju wo jedinoho Boha Otca*³¹, jak się nie jest, trudno być. Ja nabierałam ciała i kilogramów tylko w nocy, tylko dotyk Joachima przywracał żyłom krew i ołów, tylko wtedy trawy kładły się pode mną.

²⁹ wily – widły

³⁰ krapiwa – pokrzywa

³¹ Wieruju wo jedinoho Boha Otca – Wierzę w jedyneho Boga Ojca.

– *Skaży, jak można palubić tak druhocho czaławieka? Czamu? Pa szto?*³² – zapytała Sonia.

Igor leżał na kolorowym *szmatniku*. Nie odpowiedział, bo Sonia nie oczekiwała odpowiedzi. To nie było pytanie, tylko jasno wyrażone zdziwienie i szacunek dla tego, co przeżyła z Joachimem, dawno, dawno temu. Dla wszystkich ludzi, którzy doświadczyli czegoś podobnego, czegoś wykraczającego poza rozumienie, a nawet odczuwanie. Dla czegoś wszechmogącego. Czegoś spoza. Jak gdyby metafizyka była słowem, które niekiedy spotykało się ze światem.

Igor leżał. Z każdym skończonym dniem w opowieści Soni wydawał się sobie starszy i cieńszy, pergaminowy i łuszczący się jak farba olejna, jak gdyby jakiś niebieski rachmistrz dodawał te dni do rachunku jego życia, odejmując z rachunku Soni. On przez to młodniała, on słabł i stracił ochotę, by – skoro krwawienie ustało – podnieść się i może coś przekąsić albo się zakrzętnąć dookoła assistance. Koniec końców auto samo się nie naprawi.

³² *Skaży, jak można palubić tak druhocho czaławieka? Czamu? Pa szto?* – Powiedz, jak można tak pokochać innego człowieka? Dlaczego? Po co?

Na wsi ludzie łatwo się znajdują, czy tego nie chcą, czy chcą, no, chyba że giną, wtedy to kamieniem w wodę, nikt nic nie widział, nie słyszał, nie poczuł, zwykle plusk. Wieś to mały świat, w zasięgu słuchu i wzroku, wszyscy żyją tak blisko siebie, że nic niczyjej uwagi ujść nie może, a potem – kara, rzadko sprawiedliwa. Wymknęłam się z *chaci* jak zawsze. Ojciec i bracia spali ciężkim, płaskim snem, niby po maku. Za bramką otarł się o moje nogi Wasyl. Zamiauczał wysoko i żałośnie. Schyliłam się, żeby go pogłaskać. Wtedy wydało mi się, że coś usłyszałam, coś z rodzaju łamiących się gałązek, powstrzymanego oddechu i kropelki potu wzbierającej pomiędzy piersiami. Nic to jednak, poszłam swoją drogą, do mostu. Od razu dostrzegłam Joachima: w moich oczach, które światło dnia coraz częściej raziło i oślepiało, odbił się wyraźny kontur, ciemna obwiednia. Połyskiwały dwie stalowe błyskawice na jego mundurze. Wydawało mi się, że te błyskawice, tak blisko siebie, rozpalone na moment w oślepiającym błysku – to my.

Pocałowałam go i wzięłam za rękę. Po raz pierwszy był wszędzie spięty, twardy i nieobecny. Kanciasty, jakby z kątów, bez kólek i krzywizn. Zeszliśmy nad brzeg, a on zaczął opowiadać jakąś historię. Najpierw sądziłam, że to taka historia.

Już niedługo wojna się skończy. Nie będzie frontu, nie będę tu potrzebny. Zabiorę cię do mojej matki, ma piękną willę pod niemieckim miasteczkiem Haradok. Ojciec umarł dwa lata temu, był nauczycielem. Matka się ucieszy. Na pewno cię pokocha. Matka moja przepowiada przyszłość i przeszłość; jest dwubiegunowa. Potem weźmiemy ślub. Będziesz czasem gotować *polnische* jedzenie. Wszystkim posmakuje. Będziemy mieli pięcioro dzieci: Waschil, Griken, Jan, Phrosch, Schiessen. Będziemy jeździć do kurortów i nad morze (morze to po niemiecku *Juden*). Będziemy mieli kota o imieniu Raus. Kot będzie się wygrzewać w słońcu i łowić *Schweine* (to po niemiecku myszy). Sąsiad, starszy elegancki pan w garniturze w prążki, *Herr Abramowitsch*, zapisze nam swój majątek. A inny sąsiad, też z Polen, pan Buchwald, wyda swoją córkę za naszego pierworodnego.

Naprawdę na początku pomyślałam, że to taka historia. Panika, która we mnie zatrzepotała, gdy zobaczyłam Joachima, zmąciła mi rozum tak bardzo, że nie wiedziałam tego, co wiedziałam. Ludzie przecież gadali. Panika obijała się we mnie jak wyschnięta fasola o ścianki puszek. Z każdym jednak zdaniem uświadamiałam sobie, że za dużo rozumiem w tym kompletnym niezrozumieniu; imiona naszych nienarodzonych dzieci brzmiały podejrzenie znajomo, zniekształcone tylko w tym charkotliwym narzeczu. Wtedy usłyszałam inną historię, wycierającą spod tej pierwszej; słyszałam tę inną historię setki razy, już nie z ust Joachima, lecz tych, co przeżyli lub widzieli, lub oganiali się od koszmaru jak od płomieni, machając rękoma i tylko podsycając żar. A może to nie o nich wcale była ta historia, ale o moich braciach i mężu? A może to wcale nie było, lecz będzie?

Zebrali ponad sto osób niedaleko drewnianej synagogi w Gródku, tej, co stała blisko cerkwi. Upalny dzień. Żydzi stali zbici w gromadę. Bali się. Byli tam drobni kupcy, karczmarze, szewcy. Były ich rodziny. Ci, którzy jeszcze coś posiadali: może niewiele, mimo to jednak, jednak coś mieli. Mieli buchalteryjne zapiski w zeszytach, koszmary o Jahwe, bo ich Bóg jeszcze od naszego paskudniejszy, mieli bar micwy na głowie i panny na wydaniu. Rozkładali bezradnie ręce, upychali ręce po kieszeniach, zaciskali ręce w pięści.

Byli to ludzie starzy, pachnący kurzem i naftą z lamp; byli tam też młodzi, pachnący słońcem i świeżym potem. Za kordonem żołnierzy gromadzili się mieszkańcy Gródka. Niektórzy współczuli, niektórzy nie rozumieli, niektórzy liczyli na umorzenie długu. Niektórych bawiło nagłe upokorzenie majątniejszych sąsiadów, niektórych przerażało.

Żołnierze najpierw wyrwali młodego chłopca ze zbitej grupy. – *Sehr gut* – powiedział Joachim; tak samo kiedyś odezwał się do mnie. Żołnierz wyciągnął mauzera z kabury, przyłożył lufę do skroni i pociągnął za spust. Nic więcej, fontanna kropelek krwi i pokruszonych kości.

Sonia kręciła głową, jak gdyby nie rozumiejąc wiele z tego, co przywoływała, a czego nie widziała na własne oczy. Ostatecznie może to wszystko zmyśliła? Może w starciu opowieści z historią to prawda zawsze wychodzi poturbowana? Igor leżał, spał się. Już pojedyncze cierpienie, na przykład własne, niechby i od anginy nieodległe, źle znosił, cierpienie masowe, odgórnie zaplanowane i oddolnie wprowadzone w czyn – go paraliżowało. Nie potrafił słuchać, współczuł mechanicznie, w bezwarunkowym odruchu tępej solidarności.

W jaskrawej iskrze, która przeskoczyła na niego z Jozika Pasterza Myszy, pojął, iż musi zapamiętać więcej nawet, niż Sonia opowiadała, że musi pamięć zaprząć w teatralny lub powieściowy kierat, by siebie ocalić, by wreszcie opowiedzieć jakąś prawdę, zawalczyć o coś. Chociaż to akurat przeczuwał chyba od samego początku, już od progu.

Chłopak upadł. *Baciuszka* powtarzał, że *Boh* upadłych podnosi, a nieupadłych powala. *Boh* nie podniósł chłopca, nie wcisnął w niego kropelek krwi ni okruszków kości. Czyżby żydowski Jahwe nie był aż tak łaskawy albo mocarny? W końcu u nas w Haradku to On był jakby na obczyźnie – daleko od piasków i pustyń, tułacz. A może na to nie zasłużyliśmy? Przecież dla chłopca nie miało już nic znaczenia, to w innych rodziło się nieszczęście, to inni potrzebowali cudu i otuchy. Widać nie zasłużyliśmy na Łazarza. Chociaż Łazarz, na zdrowy rozum, nie nasz był, a Żyd był jak wszystkie pierwsze *chryścijany*.

Podobno nikt nic nie mówił. Niemcy pojedynczo wyciągali ludzi, przystawiali broń do skroni i pociągali za spust. Każdy taki upadek wyrывał kilka osób z kręgu obserwujących zajście sąsiadów. Ci ludzie szli do domów, jednak nie własnych. Widząc śmierć sklepikarza, udawali się do opuszczonego sklepu. Widząc śmierć szewca, szli do bezpieczeństwa zakładu.

W końcu zostali tylko stary pan Buchwald oraz *baciuszka* i katolicki ksiądz. Wtedy niemieccy żołnierze nagle odeszli, zostawiając prawie setkę trupów, troje żywych i roje much. Muchy od razu zwęszą trupa i gówno. Niemcy po prostu odeszli, jakby to zdarzenie nie miało większego znaczenia, jakby skończył się czas pracy i przyszła pora na odpoczynek. Niemal setka martwych, troje żywych i muchy.

Taka była, być może, historia Joachima. Już nie myślałam, że *Juden* to po niemiecku morze, że *Raus* to kot, a *Schweine* to myszy. Najbardziej współczułam Joachimowi. Kochałam go i on ciągle żył, mimo to mu współczułam, nie potrafiłam inaczej. Mój biedny, jasny Joachim, jego piękne ciało, nagle obrysowane powykręcany sylwetkami zwłok.

Joachim przestał mówić. Do dziś nie wiem, co mi tamtej nocy próbował opowiedzieć: o przyszłości i mordzie w miasteczku, a może o przyszłości po mordzie albo o przyszłości bez przyszłości, nie wiem. Ścisnął mocno moją rękę. Bolało, ten ból był jednak niczym w porównaniu z bólem odczuwanym przez niego. Zaczął płakać. Mówił i płakał, bez żadnego związku. Potem położył głowę na mojej piersi i milczał. Oddychałam z workiem kamieni na piersi.

Nie siedzieliśmy długo. Nawet mnie nie pocałował na pożegnanie, tylko dotknął ramienia, a następnie piersi; mój sutek stwardniał.

Patrzyłam, jak odchodził: już dawno rozpułynał się w mroku, mimo to stałam nieruchomo, zastanawiałam się, czy mój Joachim jest nocnym przywidzeniem, czy jednak mężczyzną z krwi i kości.

/Teraz dajemy dokumenty o zagładzie gródeckich Żydów.

W spektaklu filmik z ocalałymi zdjęciami, nie dłuższy niż 3– 4 minuty.

W wydaniu papierowym z 10 zdjęć, w tym **KONIECZNIE!** przynajmniej jedno z dzieckiem./

Ktoś dotknął mego ramienia.

– *Ty ni swaja. Ty bladź*³³.

Nie wiedziałam, kto wypowiedział te słowa. Ogłuszona byłam jeszcze tym, że mnie Joachim nie pocałował na pożegnanie ani nie wszedł we mnie na przywitanie. Bolały mnie te słowa, jednocześnie cieszyły, bo oto miałam dowód, że Joachim jest rzeczywisty. Potem obcy głos mnie popchnął, upadłam, a on mnie przydusił do ziemi. Leżałam na brzuchu, z piaskiem w nosie i między zębami. Język tak silnie przywarł do ziemi, że nie zdołałam go wciągnąć. Ręka przydusiła mnie z potężną siłą. Potem druga ręka obcego głosu zadarła sukienkę.

Broniłam się, lecz nic to nie dało. Byłam jak dziecko protestujące przeciwko niesprawiedliwej decyzji rodziców. Głos był dużo silniejszy. Próbowałam zrzucić go z siebie, po kilku kułakach w głowę straciłam przytomność. Ocknął mnie rozdzierający ból. Głos sapał nad moim uchem, krople jego potu i śliny spadały mi na kark, a jego *struk* rozrywał moje ciało. Gwałcił mnie jak owcę, od tyłu, starając się zadać jak największy ból. Prawie nie dawałam rady łapać powietrza. Wreszcie skończył. Wstał ze mnie. – *Ciapier srać ni budziasz, job twaju mać*³⁴. – Nie mogłam się poruszyć. Ciepła ciecz wypełniła moje ucho, by spłynąć do ust. To był jego mocz. Krew, kał, sperma, mocz.

(Mała ojczyzna, pomyślał Igor).

Leżałam długo. Chyba. Dopiero psi język wrócił mi kapkę życia. Nie wiem, w jaki sposób Borbus wydostał się z podwórka. Ojciec go uwiązywali, bo kury po sąsiedzku dusił. Potem jacyś ludzie mnie podnieśli i odprowadzili do domu: kobieta i mężczyzna, a może to sama ja byłam? Może ich tylko wymyśliłam, bo tak bardzo nie chciałam być osamotniona w upodleniu?

I czy ta wojna to była naprawdę? Czy tylko w mojej głowie?

³³ Ty ni swaja. Ty bladź. – Ty nie swoja. Ty bladź.

³⁴ Ciapier srać ni budziasz, job twaju mać. – Teraz nie będziesz srać, pieprzyć swoją matkę.

Za oknem ściemniało się, zaszczekała Borbus Dwunasta, Sonia wstała i archaicznym, przekręcanym włącznikiem zapaliła światło. Żarówka wolframową niteczką wwiercała się w czaszkę Igora, chrobocząc niczym stomatologiczne wiertło, dlatego podniósł się on z podłogi. Jak szybko minęły godziny, pomyślał, jak bardzo się zużyłem.

(I mam nadzieję, że mi krowy rogami nie zarysowały auta, dopowiedział, nie wiem, czy polisa pokrywa bydło).

Rzeczywiście, Igor w nieostrym świetle dostrzegł na własnych rękach drobniutkie plamki wątrobiane, dostrzegł suchą skórę na przedramieniu, dostrzegł pojedyncze siwe włoski na łydkach, źdźbła szronu, dostrzegł tego innego w sobie, z przeszłości, z początku; chyba jednak trzeba będzie jeszcze poskrobać.

Nie przestraszył się, że zachorował na starość, pomyślał tylko, iż kontakt z baśnią lub mitem wyniszcza ciało. I że dzieciństwo na zawsze w człowieku zostaje, jak pory roku czy okrucieństwo: można się go zaprzeczyć, ono jednak nie da się zabić, zamalować, zapomnieć – można co najwyżej rozstawić parawan.

Ciało Soni, wręcz przeciwnie, nabierało jędrności, nawet piersi napięły materiał sukienki, nawet włosy wymknęły się spod kwiecistej chustki w błysku złota – nie rtęci czy srebra – pszenica tak świeci, sama z siebie prosto kole w oko.

Sonia wyszła przed dom, a za nią podążył jej gość. Noc zapadła niespodziewanie. Poświata gwiazd wyszorowała gotyckie litery na obroży suki, załśniły one teraz zimno i niebiesko. Sonia wzięła Igora pod ramię: tamtej chwili to ona wydawała się młodsza. Charakteryzatory doprawdy spisali się na medal.

Poszli w stronę rzeki. Za bramką zaświeciły zielono kocie oczy.

– Tu stał most – powiedziała. – Teraz jest inny, betonowy. No i bez Joachima. I bez wojny. Ach – nieomal krzyknęła – jak ja tęsknię do wojny! Czemuż się skończyła!?

Igor odbywał później wielokrotnie podobny spacer, nazywał go dokumentacją. Głównie nocą, bo za dnia to jednak wypytywał mieszkańców Królowego Stojła i dumnej mikrokosmicznej Słuczanki. Pytał o Sońkę. Jaka była? Mówcie śmiało, już jej nie ma pomiędzy żywymi.

Ludzie mówili: „biała” albo „kulawa”. Albo: „dobra”. A to nic nie znaczyło, to było jak powietrze w płucach, jak unik, bezdech.

Dlaczego pozwolili jej dożyć naturalnej śmierci? Przecież nie z litości ani z dobroci. Sytuacja przedstawiała się beznadziejnie, nikt z Igorem nie chciał rozmawiać; odpowiedzi głucho zatrzęsnięte, spust na kłódce, serce głucho w klatce piersiowej, siano, sianem się wywijali. Aż wreszcie Igor silniej sięgnął do swoich młodych lat, w których przechowywał najwcześniejsze wspomnienia związane z komunikacją międzyludzką na terenach pogranicznie wschodnich. Przypominał sobie, że tu, na rubieżach cywilizacji, poważna rozmowa rozpoczyna się po dwóch flaszkach bimbru.

Pił dużo z miejscowymi. Niektórych nawet w dziwaczny sposób polubił. Nie czytali książek, nie odwiedzili nigdy teatru ani kina, a dom kultury – tylko zwany świetlicą, bo długo jedynie świeczki tam były, żadnego prądu – wtedy gdy coś za darmo dawali albo kazali. Karmili się telewizorem i Cerkwią, a mniej liczni Kościołem, a wszyscy – plotką. Plotka nadawała sens wolnym godzinom, pożerała je, że ani się obejrzeliby, a przeżyli już życie. Była jak pieprz. I sól. Jak smak. Jak rdzeń łądygi. Jak rabarbar. Krew z krwi, złość ze złości, zawiść warząca mleko.

Igora odurzał ich hart. Oni nie zapominali i nie przebacжали. I byłby ich znienawidził i sobie nimi popogardzał w swojej klasie średniej prawie wyższej, gdyby nie to, że niekiedy oni również odstępowali od wymierzenia kary. Umieeli też cierpieć długo i bez skargi. Nie liczyli na sprawiedliwość, nie byli szaleni, dostosowywali się do historii wżartej w świat jak czerw w ciało. Dziwny gatunek człowieka, myślał Igor. Zasługuje na głęboki szacunek, równocześnie nie budzi sympatii, czasem brzydzy. Trudno coś o tutejszych pomyśleć jednoznacznego. No i muszę pamiętać, że ja też jestem stąd.

Po pewnym czasie, po litrach alkoholu, zaczęli mówić.

Sońka była szeptucha.

Potrafiła rzucić urok na krowę, żeby zdechła. Na maciorę, żeby oprosiła się martwo. Na pannę młodą, żeby jej pryszczki przed ślubem nawyskakiwały, a sutki spuchły do rozmiaru dorodnego rydza.

Sońka to była, mówili inni, nasza kara za paskudztwa wojny. Nasza pamięć, mówili ci najbardziej pijani i refleksyjni, źli jesteśmy, źli, a ona najgorsza z nas wszystkich. Najgorsza, bo nie żałuje. Nie żałuje suka i kurew ani kapki, ani kropelki krwi, nawet tyci, co brudu za paznokciem.

Sońka, ona pomagała, mówili inni, umiała zamawiać popiołem. Przeganiała choroby, leczyła zwierzynę. Bańki stawiała.

Nie była zła ta Sońka.

Dopiero w czasie pracy nad spektaklem Igor uświadomił sobie, że o Sońce źle mówili głównie mężczyźni, a dobrze – kobiety. Z jednej strony kara, z drugiej zrozumienie, choć i to jest nieprawda.

Siedzieli przy stole, po wieczornym spacerze. Jozik Pasterz Myszy wygrzewał poduszczeni łap, Borbus zwinęła się w kłębek pod stołem. Siedzieli nad emaliowanymi kubkami z kawą Inką. Para się nad nich unosiła, i wszędzie wokół, znad mokrych łąk i rzeki. Same resztki, pomyślał Igor, resztką jej, resztką mnie, no i zwierząt końcówki serii: pies dwunasty, kot dziewiąty.

– *Lepiej pamirać u łóżku, u swajoj chaci. U szpitalu feko.*³⁵

Niby się z tym zgadzał, też by wolał umierać u siebie, a nie w szpitalu, mimo to wstał i nerwowo przemierzał kuchnię: drzwi do sieni, cztery kroki, drzwi do pokoju, obrót, cztery kroki. Śmierć działała mu na nerwy.

– *Ni pamrecie* – powiedział, choć w to nie wierzył. Powiedział tak Ignacy, wyskrobany już ze wstydu, z wyparcia, z gorszości.

Po raz pierwszy zwrócił się do Soni nie po polsku, lecz *pa prostu* – tak nazywano ten język. *Pa naszymu*. Sam nie wiedział, czy to białoruski, czy jakiś dialekt rosyjskiego, a może polskiego? Jakaś *trasianka*³⁶? Jaka to aberracja historyczna lub emocjonalna? Jaki lud wyrzucony poza podręczniki? Jaka nacja bez historii? Tak mówili jego dziadowie, jego rodzice i on sam, dopóki nie zapomniał, po to żeby przeżyć życie bez podstawowych upokorzeń językowych.

Ach, pierwszy język, mleko z socjalizacji, duma bez zasługi, wstyd bez winy. Najpierw języka zapomnieli rodzice, przenieśli się bowiem do Średniego Miasta Białystok. Musieli pracować, a pracować mogli tylko po polsku, w końcu mieszkali bieżąco w Polsce, dlatego pamiętali, żeby *pa prostu* zapomnieć. Gdyby zapomnieli o niepamiętaniu, natychmiast staliby się kacapami: koniec z przyjaciółmi, z pracą, z nowym, lepszym życiem w nowej, lepszej ojczyźnie. No i awans społeczny, któż mu się oprze po tej strasznej biedzie i krzywdzie? Wystarczająco obciążał dowód osobisty z rubryką „miejsce urodzenia”; takie jak Słuczanka budzi jednoznaczne podejrzenia.

Ignacy szybko się nauczył, że jeśli chce mieć przyjaciół w szkole i na podwórku, to nie wolno mu mówić tak, jak mówią dziadkowie. Mówiąc jak dziadkowie, miałyby znajomych w wieku dziadków, a tacy to już nie łążą po drzewach i nie strzelają z procy w koty, i nie ciągną dziewczynki za warkocze z kokardką na końcu. I tak w szkole nie było łatwo. W pierwszych klasach wyszło na jaw, iż Ignacy otrzymał inny niż jego rówieśnicy przydział. Ignacy – przez chrzest i bierzmowanie razem w pakiecie, na dzień dobry w świecie – dostał się mniejszemu Bogu.

Nie temu wielkiemu i czystemu, katolickiemu i polskiemu, nie temu, który wywoływał i przegrywał powstanie za powstaniem, upuszczał krew, że aż pisano wspaniałe wiersze, lecz tamtemu pomarszczonemu, staro-cer-kiew-no-sło-wiańwskiewmu, bełkoczącemu głosami wioskowych bab i *mużyków*³⁷ w słodkim kadmiedle i pociemniałych ikonach. Ten jego Bóg, karłowaty i wsiowy, prawosławny i złocony – sprawiał, iż koledzy i kolegów matki patrzyli na Ignacego z wysokości swej wykrochmalonej, antykomunistycznej wiary, z Piotrowego tronu wcale a wcale nie tak fajnego Jana Pawła II. A z takiej wysokości Ignacy wydawał się podobny swemu Bogu, to jest: wybrakowany, kolaborujący z Ruskimi, niepewny i gorszy.

Gdy wyjechał do stolicy na studia, odciął się od siebie, nabył imię Igor, nowe i ładniejsze,

³⁵ *Lepiej pamirać u łóżku, u swajoj chaci. U szpitalu feko.* – Lepiej umierać w łóżku w swoim domu. W szpitalu źle.

³⁶ *trasianka* – specyficzna mieszanka języka rosyjskiego i białoruskiego

³⁷ *mużyk* – mężczyzna

w dokumentach akuratnie potwierdzone. I nazwisko sobie wydłużył. Zamiast Gryki został Grycowskim, tak bardziej światowo. I czasem żałował, przed nasenną pastylką, że nie przewidział, iż kiedyś mniejszości będą w cenie. Pocieszał się jednak, że w końcu wyjdą z mody: świat nigdy nie sprzyjał mniejszym i słabszym.

Gdy tak chodził – cztery kroki, obrót, cztery kroki – Igorowi zaświtało, że może Sonia ma rację. Że lepiej ze śmiercią nie pędzić do doktora, że warto doczekać ranka, aż wszędzie słońce. Jesteśmy na ziemi mego Boga, pomyślał, może i malutkiego, ja jednak nie potrzebuję niczego wielkiego.

Premiera *Królowego Stożła* odbyła się w Teatrze Narodowym w Warszawie w sierpniu, poza sezonem. W rocznicę śmierci Soni. Stawili się wszyscy. Jedni, ponieważ chcieli przekonać się na własne oczy, że Grycowski Igor się skończył, a trzygodzinne przedstawienie stanie się trzygodzinnym wbijaniem ostatniego gwoźdźca do trumny ze znanym, wszakże bez nadmiernego entuzjazmu i częstych zaproszeń do telewizji śniadaniowych, reżyserem i literatem. Drudzy, ponieważ byli ciekawi, nad czym tak długo i w takiej tajemnicy pracował. Trzeci, ponieważ pojawiali się zawsze tam, gdzie pojawić się wypadało. Poza tym w ramach zadośćuczynienia serwowano wino i przekąski, zawsze to odszkodowanie za wzruszenia i przeżycia artystyczne.

Jak skrętnie odnotowała „Viva!”, kolorowy magazyn z plotkami, skierowany do kobiet potrafiących jeszcze trochę składać litery, a także przewracać strony w sposób analogowy, w trakcie przedstawienia wyszedł tylko jeden z krytyków, skądinąd najwybitniejszy ogólnopolski memlarysta, który karierę i nazwisko wyrobił, memlając odniesienia do Holocaustu we współczesnej kulturze, a zwłaszcza w reklamach.

Królowe Stożło zostało przez krytyków przyjęte lodowato, żadnego ocieplenia klimatu. Trudno uwierzyć, czytając recenzje, że aż tyle błędów udało się popełnić w trzygodzinnym spektaklu – to zasługiwałoby na jakieś wyróżnienie albo choć zasiłek zdrowotny. Feministki zarzucały ohydny neokonserwatyzm, tak okropny pewnie dlatego, że nieuwzględniający recepcji drugiej fali feminizmu. (– OMG – rzucił Igor, czytając recenzję o tym, czego spektakl nie uwzględnia; *Królowe Stożło* nie uwzględnia wielu rzeczy, na przykład lądowania na Księżycu. I co to, WTF, znaczy „analiza intersekcjonalna”?! – za którą został nieoczekiwanie pochwalony). Konserwatyści, także ci z neonem neo- na przedzie, nie potrafili pogodzić się z wizją historii: historia to nie jest garb, to nie jest parch ni skurwysyństwo uczynione ludziom przez ludzi, lecz wartość, tutaj deptana i zohydzana, wartość nad wartościami, alleluja, Bitwa Warszawska i promieniowanie laserowe Matki Boskiej, pokonującej bolszewików na okoliczność późniejszego ściągania środków finansowych od wiernych. Białorusini niezadowoleni – niby nic dziwnego, oni zawsze są niezadowoleni, tak się nacjom robi, gdy są stuleciami podduszane – bo poczuli, że swojskość to mniej niż naród, a do tego przypisy do wypowiedzi po białorusku wszędzie, w programie teatralnym i książce, jakby białoruski w Polsce nie był „po prostu” rozumiany; więc znowu zostali pomniejszeni i upokorzeni, a przecież ciągle graniczą na karku z Rosją. Dla Polaków spod znaku promieniowania planety Krypton i ultrafioletu Gorejącego Serca Jezusowego ogólnie koszmar, ani słowa o powstaniu warszawskim i Bożej Łasce. Ponadto zbyt uduchowiona inscenizacja oraz nazbyt klasyczna z drugiej strony, że powieki same opadają. Krytycy lewicowi pytali, czy liberalne elity potrafią się wzruszać, gdy nie ma obok Shoah, chociaż oczywiście całym sercem są za Holocaustem, to znaczy w kulturze i odniesieniach doń. A mniejszości LGBT oburzone heteronormatywnością, i to – ohyda! zaścianek! w wydaniu heteronormatywnym! W streszczeniu: nikt nie był zadowolony: dupy zawracanie, głowy trucie i bąków zbijanie, kijem Wisłę po prostu, a Odrę kajakiem, twierdzili krytycy w polifonicznej zgodzie. Festiwal kręcenia nosem obracał się jak tybetański młynek lub karuzela. Po przeczytaniu dziesięciu miażdżących recenzji Igor wiedział, że odniósł sukces. Gigantyczny sukces. Dopokąd sięgał pamięcią, żadnego spektaklu nie przyjęto tak źle i jadowicie. W końcu przetworzenie śmierci i cierpienia na wzruszenie zawsze boli. I wkurza. Nikt nie cenił spektaklu prócz publiczności. Ta waliła drzwiami i oknami, wzruszała się i obiecywała sobie zmienić własne życie, szlochala i postanawiała być lepsza. Nic przecież tak człowieka miejskiego nie zmienia na lepsze jak okazja do obserwowania cudzego nieszczęścia. *Królowe Stożło* nie

schodziło z afisza kolejne sezony.

Już po roku opiniotwórcze dzienniki i tygodniki uznały, że skoro ich negatywna opinia nie zniechęca widzów, to trzeba opinię dostosować do opinii czytelników. *Królowe Stojło* awansowało do rangi dzieła wiekopomnego: stało się polskie, białoruskie, niemieckie i żydowskie; też humanizm, nie zapominajmy zbyt łatwo tego słowa; a także awangardowe i klasyczne; wzruszające, choć nie sentymentalne. Zamiast kiczu widziano świadome produkowanie kiczu, kump nosy i pióra krytyków zwietrzyły, z czego Igor z Ignacym, już pogodzeni, sztama, się chichrali, bo to tak jakby świadome sranie różniło się kulturowo i kulturalnie od srania po prostu, z potrzeby kiszki lub głodu.

Na wielkim ekranie oglądał zapis premierowego spektaklu. Oglądał po raz bodaj dziewiąty scenę Spaceru pod Most.

Teraz robi pauzę i zoom-in na twarz aktorki. Wygasza tło. Jej twarz zastyga, wypełniając cały ekran. On patrzy w jej półzamknięte oczy.

Ostatni tydzień spędził na wpatrywaniu się w jej twarz. Ta twarz go obezwładnia i rozbija szczerością, czy też prawdą. Widzi pracę charakteryzatorów, widzi scenę, widzi wszystkie nieścisłości i umowności, a mimo to wierzy w tę twarz.

Zwalnia pauzę. Kobieta opada na sztuczną trawę. Oddycha niezauważalnie. Siada przy niej aktor grający Joachima. Rozbierają się. Kurtyna. Cóż jest złego w byciu późniejszym niż oryginał?

Na wielkiej scenie w dużym pokoju, wytapetowanym w kwietne wzory scenografii z sufitem z niebieskich reflektorów, stała toaletka z lustrem i plastikowymi kwiatkami. Stał komplet mebli na wysoki połysk: szafa, przeszklony regał z kryształami, stół i cztery krzesła, sztuczne kwiaty i święte obrazki na lichym papierku. Stało także łóżko zasłane wcześniej kapą w wielokolorowe wzory.

Na ich twarze – młodą twarz kobiety i starzejącą się twarz Ignacego – pada delikatny, złotawy poblask. Anioł u wezgłowia rozpostarł najpiękniej skrzydła. Anioł:

(Koniecznie porozmawiać z oświetleniowcem, notuje sobie w pamięci Igor, ten anioł wygląda jak z Piwnicy pod Baranami).

Decyzje nie są moje, moje są tylko skrzydła. Dlatego rozpościeram je najpełniej i najuroczej, w czarze i w falbankach, w zdarzeniach i w interpretacjach. Moja miła, widziałem cię, zanim stałaś się jajeczkiem i wicią plemnika, widziałem wszystko, nie spodziewałem się jednak, że zobaczę to, co widzę. Moja najkulawsza, najutykańska, najkochańska, jestem twój Stróż, jestem Gabriel Dziewiętnasty, moje miejsce jest na główce szpilki, tuż obok Pierwszych: Michała i Samaela. Mam cię chronić, podawać dłoń, gdy upadniesz, mam-mam-mam, ja-ja-ja cię wyniosę!

Sońka rozpałiła *u pieczy*. Przygotowała mleczną zupę z zacierką i solą. Zagrzała wody na herbatę. Zrobi mocną. Później weźmie się za kapustę z grzybami, jeśli starczy czasu i sił. W domu święto: gość, anioł, jak z wizyty u Abrahama.

Usiłuje sobie przypomnieć, jak ta wizyta się skończyła.

Chyba jakoś niedobrze.

Sonia nie umiała myśleć o Joachimie jako o Niemcu. Niemcy byli od strzelania, od palenia wiosek, od rekwirowania żywności i zwierząt. Niemcy praktycznie i od serca oddali jej tylko jedną przysługę: zabili ojca.

Gdy Sonia uświadomiła sobie, że ojciec już nigdy nie wróci inaczej niż w sennym koszmarze, popłakała się ze szczęścia. Ludzie się liczyli, no tak, najbardziej wszak liczyły się krowy i kozy. Bez nich ludzie zdechliby z głodu. Właśnie teraz, siorbiąc mleczną zupę, przypomniała sobie tamten moment.

Ojciec świtem pojechali z innymi po drewno na opał. Cała zaś wieś uciekła na bagna, by przeczekać kolejny przemarsz niemieckich oddziałów. Niemcy raczej nie odważali się zapuszczać na nieznane sobie tereny, chyba że udało im się znaleźć przewodnika. Między drzewami, mając pod stopami podmokły, uginający się grunt, swojacy mogli czuć się stosunkowo bezpiecznie. Nie zostało ich już aż tak wielu. Każdy miesiąc wojny można było policzyć po nieobecnych. W lipcu rozstrzelano rodzinę Konstanciuków, w sierpniu przepadł Władek Karpowicz, we wrześniu ktoś znalazł martwą Gienię: z raną od bagnetu biegnącą od waginy po szyję. Niektórzy ginęli, pozostawiając ciała, niektórzy rozptylali się: szli w pole czy las i nie wracali. Chociaż wszystkie zgony zapisywano na konto Niemców, Sonia wiedziała, że sąsiedzi ginęli także z rąk sąsiadów. Zadawnione niechęci, zawiści, krzywdy – wszystko puchło i pęczniało w ciało trupa i trupa. I trupa.

Kilkunastu mężczyzn zaprzęgå konie do wozów i pojechało w las. Zbliżała się zima; żeby przeżyć, należało zwieźć drewno na opał. Zbliżała się zima, a mężczyźni, konie i wozy – przepadli. Żadnych wieści. Przepadli w niemieckiej zasadzce? Albo starły ich konkurujące z sobą ugrupowania partyzantów?

Nigdy nie odnaleziono zbiorowego grobu, kawałka chomąta, pojedynczego konia. Niczego, co mogłoby naprowadzić na jakiś ślad. Sonia myślała, że tylko Niemcy potrafią tak doskonale zorganizować wymazywanie ze świata. Tak, pomyślała Sonia, Niemcy są mistrzami w urządzaniu życia przez śmierć.

A kiedy Sonia zrozumiała, że ojciec już nie wróci – w tamten dzień na bagnach, czekając na kolejny przemarsz niemieckich oddziałów, o żołądtku pustym jak dziurawa kieszeń – wtedy popłakała się ze szczęścia; a później płakała, gdy dotarło do niej, że cieszy ją niewielka część wielkiego karczowania, wielkiej korekty, która w powidoku dokonywała się na jej oczach i jednocześnie poza zasięgiem jej wzroku, która drgała na błonie bębenkowej w suchych wystrzałach: gdzieś tam – tam nigdzie, tak dawno temu, przed Potopem, że pleśń stłumiła dźwięk, a robak stoczył ciało; która była ścięciem zadoścuczynienia w obojętnym świecie.

Zhańbiona i wypluta, podniesiona przez Gabriela Dziewiętnastego, polizana przez Borbusa, z łydką otartą przez Wasyla. Najpierw zeszli nad rzekę, gdzie Sonia zmyła z siebie brud: krew, kał i spermę, pot, ślinę i ziemię, włókna z sukienki, włosy i łzy. No i historię, największe obrzydlistwo, jakie może dotknąć człowieka i przywrzeć do niego. Do skóry i pomyślunku. Do podniebienia, jak gorący kawałek potrawy. Potem dotarła do chałupy. Potem się położyła. Młodszy z braci otworzył oczy. – *Ty kurwa, mnie ustydna*³⁸ – powiedział. Zamknął oczy.

Tamtej nocy nie mogła usnąć, a noc nie chciała się skończyć, jakby ktoś postanowił, że Sonia tamtej nocy nie prześpi wszystkich nocy nieprzespanych. Niekiedy zapadała w odrętwienie, idące bólem od odbytu. Szła traktem nad brzegiem rzeki w wodzie po kolana. Woda była zimna i brunatna. Co jakiś czas zarzucała prymitywną wędkę, aby wyłowić ogromną rybę. Ryby, podobne szczupakom o ostrych zębach, a może cuchnącym sumom, żarły się między sobą, a ona bała się i dziwiła jednocześnie, że nie czynią jej krzywdy, i zarzucała wędkę po raz kolejny i kolejny. Wyciągała kolejne i kolejne ryby, a one walczyły między sobą w brunatnej wodzie. Nie kąsały jej: przecież już została skrzywdzona.

Brunatna woda i śliskość rybich skór okazały się niczym w porównaniu z brutalnością ojca i braci po przebudzeniu. Nic nie mówili, popychali ją częściej niż zwykle. Sonia miała wrażenie, że wiedzą prawie wszystko o niej i Joachimie. Prawie wszystko, bo przecież gdyby wiedzieli wszystko, nie mogliby zachowywać się tak okrutnie i bezmyślnie.

Wiadra już nie były prześwitujące, kartofle ważyły ciężiej niby na lichwiarskiej wadze, apetyt świń wydawał się przekraczać koryto, Gargantua i Pantagruel. Kury ją zwyczajnie swoim rozgdakaniem drażniły. Tylko Borbus, Borbus Pierwszy i Aryjski, pomagał przedrzeć się przez codzienne obowiązki miękką wykładziną sierści ocierającej się o nogi. Kiedy pucołowata patelnia słońca rozpałała trawy wstępującym w niebo ogniem, wtedy Sonia uświadomiła sobie dwie rzeczy: po pierwsze, że przetrwała najgorszy dzień w swoim życiu, po drugie, że najgorszy dzień w życiu zmierzał ku niczemu.

Joachim na nią nie czekał. Po tym dniu czekała Sonię noc. Zwyczajna noc, może spokojna, taka ze snem. Bez gwałtu. Ale i bez Joachima. Gdyby gwałt był ceną za spotkanie z ukochanym, zapłaciłaby ją wiele razy. Była bogata. Płaciła przecież ojcu, zanim Joachim się pojawił. Pomimo obrzydzenia do samej siebie, brudu, którego nie umiała z siebie zmyć, dla Joachima potrafiłaby udawać czystość. Mogłaby się zmienić, przestać być polska, ruska czy swoja. Potrafiłaby przestać być jakakolwiek. Umiałaby zastygnąć w powietrzu w pozie ważki – wystarczy klasnąć dłońmi, żeby mnie zmiażdżyć.

Wystarczyłoby, żeby Joachim zechciał na nią spojrzeć. Żeby dotarł pod most prowadzący do Słuczanki. Sonia widziała, jak wiadra wyginają swoją krawędź w łuk Joachimowych ust. Sonia słyszała, jak kogut pieje w gotyku. Sonia widziała, jak koryto, do którego wrzucała jedzenie świniom, pręży drewniane kręgi, tak podobne ciału, które jeszcze przedwczoraj wyginało jej ciało w skrzypce i floresy. Sonia widziała w lustrze wody inne rzęsy, jasne i jakby płonące; widziała oczy, w które rzuciłaby się, zanim płomień dotknąłby rzęs.

Sonia widziała różne rzeczy, dostrzegała je wszędzie, dostrzegała je dzień po dniu, Joachim jednak nie wracał. Spała, wstawiała, karmiła i głaaskała miękką sierść Borbusa, który zaczął sięgać powyżej jej kolan i prawie nigdy nie czekał.

³⁸ *Ty kurwa, mnie ustydna. – Ty kurwa, wstyd mi.*

Sonia żyła, bo tak łatwo było zginąć. Sonia karmiła, bo tak łatwo było głodować. Sonia czuła, bo tak łatwo było się znieczulić.

Sonia stawiała się tutejszą wariatką. Wakat na stanowisku wiejskiego głupka trwał już z lat dziesięć, kiedy to zmarło się starej Irce. Sonia nie wiedziała, że *ira* oznacza w języku hiszpańskim (którego nie znała, podobnie jak nie wiedziała, że taki kraj istnieje gdzieś daleko) „gniew” i „wściekłość”, jakby gniew i wściekłość, jakby furia przypisana była do każdej wątłej i odrzuconej osoby, każdej osoby odrzuconej i niegroźnej, skrzywdzonej i odrzuconej. Bo wariatów groźnych i silnych wieś eliminowała fizycznie i nieodwracalnie. Zbierała się grupa chłopów, widły, siekiery, kilka uderzeń i wspólne nabożeństwo. Taki chłop był porządny, a taki wypadek nieszczęśliwy, pech. Tyle zostawało. Niewiele. No i zawsze wina Niemców. Albo Rosjan. Albo niczyja, gdy pokój, czyli skaranie boskie.

Noc była głęboka. Jozik Pasterz Myszy rozmyślał, czyby nie wybrać się do stodoły i nie popilnować myszy, zjadłby coś żywego i aksamitnego, coś chrupiącego i piszczącego, ciepło bijące z *leżajki* przekonało go jednak do pozostania w kuchni. Wyczuwał nadchodzącą śmierć, chociaż nie wiedział, po kogo się zjawi: po Sonię Białą, po Ignacego, Igora, a może po niego samego?

Ignacy wrócił do kuchni, teraz go było dużo więcej niż warszawskiego Igora. Pojedyncza żarówka w zielonkawym abażurze układała jak do snu cienie na ciele miastowego gościa. Jego postać składała się z ciemnych smug. Mięśnie, jakoś tam uczone kości, znikły w tamtym dziwnym świetle. Tylko włosy, te siwe, na które pracował trzydzieści ileś lat i ostatni dzień, tylko one skrzyły się: trochę jak na odpuście, trochę jak na obrazie, między brokatem a werniksem.

Ignacy usiadł na *słonce*³⁹ przy piecu i spoglądał na Sonię. Sonię z twarzą łagodnie rozświetloną mleczną zupą. Sonię o białym warkoczem i oczach, z których każde lśniło innym kolorem.

³⁹ słoneczek – niski taboret

Nie widziałam Joachima już dwa miesiące. Podobno został wysłany na front wschodni. Ze wschodu nadciągała jesień. Po urodzajnym lecie jesień przystroiła się jabłkami, gruszkami i paciorkami jarzębin. Nigdy nie widziałam tylu owoców. Mało zresztą widziałam.

Nim zaczęły opadać pierwsze liście, stało się jasne – bo widoczne – że jestem w ciąży. Nie możesz wiedzieć, *Ihnat*⁴⁰, co to znaczy ciąża. Ciąża na wsi, a do tego bez męża. Bez ślubu. Bez posagu. Ojciec prawie w ogóle ze mną nie rozmawiali. Nawet nie wydawali poleceń. Nie bili ani nie popychali. Jak gdyby się mną brzydzili. Stałam się krowim plackiem: trzeba przestąpić, nie wdepnąć. Dogadzało mi to w tym, że miałam tyle samotności, ile pozostaje po wykonaniu gospodarskich prac: niezbyt wiele, sporo mniej, niż dałabym radę podźwignąć.

Bałam się zimy, zimą czas się ścina w szczykanie zębów. Ścina się w lód i zaciśnięte usta, w pięść i kułak, trzeba wyrąbywać przereble, żeby dostrzec następne miesiące i jakąś bladą przyszłość. Bałam się zimy, bardziej bałam się o Joachima.

Śniłam, że mój jasny Joachim siedzi w szarej skorupie czołgu. Zamknięty właz przyciął kilka białych piór z jego skrzydeł. Z armatniej lufy strzelają w regularnych odstępach czasu płomienne kule, uderzając w brunatnych ludzi postury niedźwiedzia. Przy takim uderzeniu rozpała się czerwona gwiazda na czapce potwora. Potwór pada, na jego jednak miejsce wzrastają dwa nowe.

(Hydra lernejska, pomyślał Igor).

Pewnego wieczora, kiedy już połowa liści gniła pod koronami drzew, ojciec wrócili od Gryków pijani i na tyle źli, by nie zwalić się od razu na ziemię. Tak wściekli, że oczy mieli czerwonosine z plamką pustki w środku, wypisz, wymaluj osłe prącia w twarzy mu ślepiły.

– *Trzymajcia dobra*⁴¹ – rzucili ojciec moim braciom.

Janek i Witek wzięli mnie pod ramiona. Z braćmi nigdy nie żyliśmy blisko. Żyliśmy razem, bo musieliśmy. Zastanawiałam się, któremu przypadnie gospodarka: młodszemu z nich czy starszemu? Oni też się zastanawiali, a jak człowiek za dużo się zastanawia, to za mało myśli i po prostu okazuje posłuszeństwo.

Janek wydawał się delikatny, pewnie po matce, jego delikatność jednak skrywała niesamowitą wolę przeżycia i dominowania. Mało mu ufałam, bo mało mówił. Witek niepodobny. Wyrósł wielki i z grubymi kośćmi. Nie potrafił niczego ukrywać. Tak jeden, jak drugi posłuszni byli ojcu, po jego myśli.

Ihnat, ja nie chcę się skarżyć, tylko musisz wiedzieć, co znaczyło wtedy – dawno, dawno temu – być kobietą. Za naszymi pagórkami i łąkami, za stodołami i chlewami wartość kobiety to nie więcej niż wartość kozy, choć koza większą miała szansę na przeżycie, bo dawała mleko, a kobieta tylko czasem i nie dla wszystkich.

Witek i Janek trzymali mnie mocno, a ojciec podeszli i splunęli w twarz. Potem się zamachnęli, żeby uderzyć, tak na odlew. Ojciec umieli bić. Warga spuchła, ułało się krwi jak z pełnego kubka. Nikt nic nie powiedział. Ojciec wzięli widły i z widłami podeszli. Zdarli ze mnie kaftan, odsłaniając ciało.

(Kurtyna się podniosła, pomyślał Igor, początek aktu drugiego).

Ciało białe i wtedy wychudzone. Z zacynem brzucha. Ciało, które ojciec znali dobrze.

– *Heta czyj bastruk?*⁴² – zapytali.

⁴⁰ *Ihnat* – Ignacy

⁴¹ *Trzymajcia dobra*. – Trzymajcie mocno

Próbowałam przywołać obraz Joachima. Żeby mnie chronił. Dodawał sił. Święty Joachimie od Soni z Królowego Stoja, wspomóż mnie. Święty Joachimie od Podbitych Ziem, uratuj mnie. Joachimie od Słuczańskiego Mostu, ześlij spokój, Joachimie Walczący z Niedźwiedziami i rozbłyskującymi czerwienią gwiazdami, osłoń czarnym płaszczem, a wrogów moich ukarż błyskawicą z kołnierzyka.

Ty nie wiesz, co znaczy pokochać bez jakiegokolwiek sensu, bez najmniejszego sensu... Widziałam, jak pośladki Joachima unoszą się i opadają w księżycowym świetle. I ten obraz, te dwie półkule nagich pośladków ukochanego, jak księżyc rozcięty na pół, lekko kudłate, nałożył się na opuchnięte policzki ojca.

Ale ojciec powtórzył pytanie:

– *Heta czyj bastruk?*

Chciałam w złości odpowiedzieć: *twój*, powstrzymał mnie strach. Złość jest słabsza od strachu. Bałam się o siebie, znacznie jednak silniej – o nasze dziecko. Odpowiedź zaskoczyła wszystkich: od ojca, przez braci, po mnie samą.

– Kareckaho – rzuciłam.

Wskazałam na tego, którego najbardziej nie lubiłam. Misza Karecki, trzeci i najmłodszy syn starego Wańki, kłusownika i kułaka. Nie świeć, Panie, za mocno, nad jego duszą, lecz i nie gaś lampy, boż to nie po człowieczemu tak zupełnie po ciemku spędzać czas wolny od życia.

Misza, najmłodszy i najprzystojniejszy, ukochane dziecko sędziwego Wańki, nie zaskarbił sobie najlepszej opinii ani w Słuczance, ani w Królowym Stoju, ani w okolicznych wsiach. Mówiło się, że lata za spódnicami. Mówiło się, że jest ograniczony i okrutny. Wiele rzeczy się mówiło, jak zawsze gdy niewiele wiadomo, a czas jakoś spędzić trzeba wspólnie.

Rzadko go widywałam i nie miałam ochoty widywać częściej. Nie wiem, dlaczego wskazałam właśnie na niego.

Mogłam powiedzieć prawdę albo skłamać. Mogłam skłamać na kilkanaście przynajmniej sposobów. Mogłam obciążyć swoim brzuchem tyłu mężczyzn, tych mniej i bardziej nieprawdopodobnych, choć brzuch – tak czy owak – nieodwołalnie obciążał tylko mnie. A wybrałam Miszę. Wybrałam właśnie jego, bo nikt by w to nie uwierzył.

⁴² Heta czyj bastruk? – A to czyj bękart?

Sonia roześmiała się, próbując odegnąć wspomnienie tamtej chwili, czy może przeciwnie: tamten żart wyszedł jej jak mało co w życiu.

– *Nathata ja*⁴³ – powtórzyła.

– Ja też kłamałem – rzekł Igor.

Wtedy odezwał się Jozik Pasterz Myszy. Wolno mu było przemówić raz w każdym z dziewięciu żyć, nie wliczając, oczywiście, wigilijnych nocy, chociaż zwykle to krowy dopychały się pierwsze do żłobu mowy.

Koty nie kłamią, albowiem zostały uczynione z najszlachetniejszego materiału: aksamitnego futra, twardego szkliwa, gumy i pneumy. Kłamią ludzie, psy i myszy. Zwłaszcza myszy. W istocie myszy nigdy nie mówią prawdy. One piszczą. Myszy są szarym złem z tysym ogonkiem, za który zło trzeba przydusić łapą i schrupać. Nie kłamią jeszcze kury, bo zrobiono je z piór, dziobu i nóg. W takiej trójcy nie ma na nic miejsca poza ziarnem.

Koty od stuleci zastanawiają się, dlaczego ludzie kłamią. Tysiące lat temu jeden z największych kotów świata, Ozyrys Egipski, wymiauczał, że to zgubny wpływ wolnej woli. Jednak przecież koty też mają wolną wolę, a spotkałem tylko jednego kota, w zasadzie kotkę, pręgowaną Śnieżynkę w białym krawacie i skarpetkach, która rozminęła się, istotnie, z prawdą, przypisując mi miot. Ot, kocie sprawy.

– Psik – powiedziała Sonia.

⁴³ *Nathata ja*. – *Nakłamałam*.

Ojciec już mnie nie bili, uścisk braci osłabł. Ojciec kalkulowali: Misza to najlepsza partia w okolicy, warto sprawdzić jego reakcję. Jeśli – prawie na pewno – powie „nie”, nic się nie zmieni. Lecz jeśli – co mało prawdopodobne – powie „tak”, ojciec wejdą do słuczańskiej elity.

– *Idzi papratać, a ty – krzyknął do Witka – paklicz na wieczar Wańku z Miszaj.*⁴⁴

Posłałam sprzątać, choć wszystko było wysprzątane. Mimo to sprzątałam, od tego sprzątania wysprzątane nie stawało się nowsze ani ładniejsze, tylko starsze i bardziej zużyte, za to upływał czas, chociaż byle jako.

Słyszałam, jak od progu ojciec zapraszali Wańkę i Miszę. Rozsiedli się za stołem, a ja wynosiłam bimber, soloną słoninę i marynowane grzyby, weki, kiełbasy i ogórki. Zapasy na czarną godzinę albo święto.

Pili i gadali.

Kroiłam cebulę, kiedy ojciec powiedział:

– *Znajasz, Wańka, maju doczku, Sońku?*⁴⁵

– *Znaju. Jana udana wielmi, wykapana Gala.*⁴⁶

Słyszac imię mojej matki, przecięłam skórę na palcu.

– *Jana ni feka, tolki szto – ojciec kontynuowali – ja tabie skazu sztoś wielmi śmiesznao. Sońka, chadzi siudy, padydzi, doczeńka.*⁴⁷

Podeszłam, ssąc palec.

– *Ty hladzi, jana panna, a z żywatom jak żonka.*⁴⁸

Wańka, siwy i suchy, raczył prześliznąć się po mnie wzrokiem.

– *Żywot ni uziatła z pawietra. Żywot Sońki uziatła z Miszy.*⁴⁹

Po słowach ojca zaległa cisza. Wańka zrozumiał powód spotkania. Misza przeskakiwał z twarzy na twarz, jak pchła z psa na psa: z czerwieniejącym nosem na przystojnej twarzy, z trzewiami wypełnionymi jedzeniem, z bimbrem zamiast krwi, zastanawiał się, czy rzeczywiście mógł być odpowiedzialny za mój kształt, albo wiedząc, że nie, próbował zrozumieć grę, która się tu toczyła.

Wańka zaczął się śmiać, zamierzając obrócić wszystko, a więc i powód spotkania – w żart. Ojciec mu zawtórowali. Właśnie takiej odpowiedzi i reakcji się spodziewali. Ja niezbyt pamiętam, co czułam. Ssałam przecięty palec. W ogóle jeśli coś nie dotyczyło Joachima, niezbyt pamiętam. To on był żrenicą mego oka. Pępkiem mego ciała. Językiem moich ust. Linią papilarną każdej opuszki. Krawędzią kobiecości. Mój Joachim, mój światłonośny.

W rehot Wańki i mego ojca niespodziewanie wdarł się głos Miszy:

– *Heta prauda.*

⁴⁴ Idzi papratać, a ty paklicz na wieczar Wańku z Miszaj. – Idź posprzątać, a ty poproś na wieczór Wańkę i Miszę.

⁴⁵ Znajasz, Wańka, maju doczku, Sońku? – Znasz, Wańka, moją córkę, Sońkę?

⁴⁶ Znaju. Jana udana wielmi, wykapana Gala. – Znam. Bardzo się udała, wykapana Gala.

⁴⁷ Jana ni feka, tolki szto ja tabie skazu sztoś wielmi śmiesznao. Sońka, chadzi siudy, padydzi, doczeńka. – Ona nie jest zła, tylko że coś ci powiem bardzo śmiesznego. Sońka, chodź tutaj, podejdz, córeczko.

⁴⁸ Ty hladzi, jana panna, a z żywatom jak żonka. – Spójrz, ona panna, a z brzuchem jak żona.

⁴⁹ Żywot ni uziatła z pawietra. Żywot Sońki uziatła z Miszy. – Brzuch nie wziął się z powietrza. Brzuch Sońki wziął się od Miszy.

– Jeszcze daleko do świtu – stwierdził Igor.

Siedzieli przy stole. Biała firanka przysłaniała prostokąt okiennej szyby: wycinała noc we wzór z cepelii. Wzór, który niczego nie opisywał, jakiś folklor taki spod granicy, wycinanka z tradycji. Jozik wrócił na *leżajkę*. Psik zobowiązuje: obraził się na swoją panią. Dał temu wyraz, zwijając się w obojętny kłębek.

Igor poczuł nieokreśloną bliżej tęsknotę. Jakby tęsknił do czegoś, czego nie skosztował, a co już stracił. Albo do tęsknoty za ciągłością, za nitką nawiniętą na kłębek, bez supełków.

Sonia dotarła do tego fragmentu swojej opowieści, w którym zatrzymał się jej gość. Sonia nosiła w sobie dziecko. Jeszcze nie wiedział, co wydarzyło się w jej życiu, już jednak nabrał pewności, jak to z pewnością bywa, błędnej, że dziecko nie opuściło żywe matczynego brzucha.

Próbował wyobrazić sobie Początek przedstawienia:

...oddzielił światło od ciemności, głupotę od mądrości, jajeczko od plemnika i zwiął stąd...

...noc jasna jak dzień. ostre światło zalewa scenę. pod okno domu podchodzi kilka wychudzonych biało-szarych zwierząt. to wilki (mogą być studenci szkół teatralnych). zadzierają pyski do sufitu i wyją (wycie może dobiegać z offu). trzy twarze w oknie poruszają się niespokojnie. wtedy wpada na deski ogromny rudo podpalany pies. to borbus...

...głód wysysał żołądek. pomyślała, że niedługo koniec. znalazła pod śniegiem trochę jagód. a potem borbus się rozszczękał: jama z ziemniakami, ukryta w lesie. właściciel pewnie już gryzł ziemię...

...miał syna Wańkę, a Wańka miał syna Miszę, a Misza miał syna Mikołaja, a Mikołaj nigdy nie będzie mieć syna, ani nawet psa...

„To prawda”, powiedział Misza (powiedziała Sonia). To nie była wcale prawda. Upuściłam naczynie. Nikt mnie nie skarcił. Ojcu oczy wyszły na wierzch: jakby miały zaraz eksplodować, niby u myszy duszonej przez jakąś *hadać*⁵⁰. Wańka, już od dawna dobrze czerwony, nabrał buraczkowej barwy; tylko siwy wąs się odcinał i fioletowe żyły. Nigdy bym nie przypuszczała, że człowiekowi tyle żył się na twarzy pomieścić zdoła, niby chwasty na niepielonym zagonie, perz i kąkol.

Misza spoważniał momentalnie, tylko że to jego spoważnienie było jakieś mało poważne. Nie znałam go, a dostrzegłam w jego oczach kpinę i zuchwałość. Może to było coś innego? Mówią, że oczy nie kłamią, mówią też, że czego nie widzą, tego sercu nie żal. A przecież żal.

Żal.

Mój jasny Joachim.

Jak straszliwie żal!

Misza wstał od stołu. Podszedł do mnie, omijając skorupy naczyń. Stał obok. Położył dłoń na moim ramieniu. Dłoń ta wydała mi się najcięższa, niby koromysło. Nigdy nie czułam takiego ciężaru na ramieniu.

– *Heta prauda. My ni znali, jak wam skazać. Ustydna było.*⁵¹

Po tych słowach coś jakby się we mnie przełamało. Albo złamało. Płaciłam za własne kłamstwo i tchórzostwo. Nie zdołałabym wymyślić bardziej gorzkiej i okrutnej kary. Moje kłamstwo zyskało pozór prawdy.

Nie potrafiłam wydobyć z siebie słowa. Chciałam zaprzeczyć. Chciałam opowiedzieć o Joachimie. Tylko jego kochałam. To on, choć wtedy daleko na tym jakimś wschodnim froncie, był we mnie. To on, mój promienny Joachim.

Pękło mi serce. Nie pierwszy raz. To serce pękało i pękało, i wydawało się, że pęknięcie nigdy się nie skończy, jak nie kończy się znoszenie jaj przez noskę ani rzeka, ani ból, ani puszcza, ani głód, ani trzeszczenie kry zimą.

Zaczęłam płakać. Długo opłakiwałam siebie. I kiedy Misza zmusił mnie, żebym uklękła przed naszymi ojcami. I kiedy Misza pocałował mnie w skroń. I kiedy brat wyprowadził mnie rozszołchaną na podwórko. I kiedy siedziałam na ławce, a Borbus przyglądał mi się i cicho skomlał. Siedziałam i opłakiwałam siebie. W człowieku mieści się więcej wody niż krwi.

Z Joachimem to była prawda. Nie znaliśmy swoich języków, nie mogliśmy kłamać. Z Miszą połączyło nas kłamstwo. To też bardzo mocne spoiwo. Nie gorsze od nienawiści. Oblepia jak pajęczyna, odbiera swobodę i – przede wszystkim – skazuje na samotność. Komu mogłam opowiedzieć? Joachimowi, którego nie było? Ojcu, zadowolonemu z obrotu rzeczy i butelek samogonu? Braciom? Popu? Komu?

Mogłam opowiedzieć tylko Miszy. Nie chciałam. I tak właśnie, krok po kroku, śmierć po śmierci, miesiąc po miesiącu – stawałam się coraz bardziej samotna.

Na listopad zaplanowano wesele. W Królowym Stojle i Słuczance, w Waliłach i Mieleszkach, a nawet w samym Gródku huczało od plotek. Nie chcę pamiętać, co wygadywano, były to tak niestworzone historie, że nawet wojna przy nich bledła. Bledła, bo ludzie na wsiach żyją życiem, a wojna jest śmiercią. Bo ludzie na wsiach żyją nieodległą przyszłością, a wojna to

⁵⁰ hadać – paskudztwo; tu: węże, jaszczurki

⁵¹ Heta prauda. My ni znali, jak wam skazać. Ustydna było. – To prawda. Nie wiedzieliśmy, jak wam powiedzieć. Wstydziliśmy się.

zawsze terażniejszość albo przeszłość.

Przez tygodnie pozostałe do wesela Misza starał się zachowywać jak przystało, to znaczy: jak przystoi u nas młodemu. Odwiedzał mnie co drugi dzień, gawędził z ojcem i braćmi o gospodarce i wojnie, a potem szliśmy na spacer w jakieś ustronne miejsce. Najpierw unikałam tych, gdzie spędzałam czas z Joachimem. Potem przestałam o to dbać. Siedzieliśmy nad rzeką, a ja zamykałam oczy i patrzyłam na Miszę. I Misza stawał się Joachimem. Joachim jakby się zmienił, tak robią rysom czas i odległość.

Stałam się tak zapamiętana w kłamaniu samej sobie, że niedługo zaczęłam się cieszyć na wizyty Miszy. Bo – w chorobliwy sposób – moje spacery z Miszą okazały się spacerami z Joachimem. A i Misza nie przeszkadzał w tym: nie próbował dotykać ni całować, nie pytał o nic i niewiele mówił. Po prostu był obok.

Czasem, gdzieś w głębi, tuż przy szpiku, zwłaszcza nad rzeką, pod skronią, czułam, że to tylko imitacja spokoju, cisza przed krzykiem, widły w stogu. Powtarzałam sobie: lepsza ta nieprawda i imitacja niż to, co stałoby się, gdybyś powiedziała prawdę. Tak sobie powtarzałam z uporem krowy dobijającej się z obory do zarzynanego na podwórzu cielęcia, aż w to uwierzyłam, choć w żadnej chwili nie zadałam sobie trudu wyobrażenia tego, co mogłoby się stać, gdybym nie skłamała.

Pamiętam jeden spacer. Siedzieliśmy nad rzeką. Przypominałam sobie Joachima, bardziej był blady niż jasny, taki... zatarty, dalszy niż święci z ikony. Spojrzałam na Miszę i zobaczyłam tylko tego, na którego patrzyłam: bez śladu Joachima, od pierwszej do ostatniej kreski – cały Misza.

Patrzyłam na niego w zdumieniu i strachu. Powiedziałam: – To nie może być. – Pokręciłam głową. – *Heta ni moza być*⁵² – powtórzyłam.

– *Musić* – odpowiedział.

Potem zaczął mnie całować i dotykać. Delikatnie. Chyba rzeczywiście sporo się nauczył, uganając za spódnicami. Nie broniłam się, bo nie znajdowałam niczego wartego obrony. Bo niby czego? Blednącej pamięci? Pokalanej czystości? Dziecka?

Jego całowanie i dotykanie sprawiały memu ciału przyjemność. Tak wielką przyjemność, że aż dotarłam do nienawiści. Jakże to tak, kochać jednego i dać się kochać drugiemu? To serce może tak rosnać i rosnać? A skóra odpowiadać i odpowiadać na dotyk?

To wtedy, nad rzeką, skonsumowaliśmy kłamstwo. I, czego się nie spodziewałam, to nas nie zabiło. Nie wyzwoliło.

Stało się.

⁵² Heta ni moza być. – To nie może być.

Niekiedy przekładanie myśli Soni sprawiało mu wielką trudność. Teoretycznie nie powinno to stanowić problemu. Jej język i jego nie są zbyt odległe, mieszkają w podobnych jamach, ta sama śliskość, to samo żebrowanie podniebienia, ten sam strach przed upokorzeniem. Jej emocje wydają mu się dostępne. Jej płęć, osłabiona wiekiem, nie jest całkowicie obca. A jednak. A jednak nie jest to tak proste, jak by wynikało z sumy podobieństw.

Nieraz czuł, że opowieści Soni odbiera coś cennego. Czuł się jak kustosz w muzeum cudzych wspomnień, jak horolog przy rozłożonym mechanizmie. Dopiero gdy się przełożyło te wspomnienia na własne doświadczenie, wyłaniało się coś zrozumiałego, równocześnie jednak jasne stawało się to, że po drodze coś umykało.

Autentyczność to jednak potworna klisza.

Wyglądałam pięknie. Tak mówili wszyscy, bo tak wypadło mi wyglądać, a im gadać. Zdjęcie pokazać mogę, czarno-białe, przetrwało. Przetrwało, bo nie dbałam o nie. Twarz mam białą, włosy czarne, upięte. Usta czarne mam, oczy jak z wapna i popiołu. Misza wygląda lepiej, niż zapamiętałam, chociaż nigdy nie chciałam zapamiętać, jak wyglądał. Wołałabym, aby nie miał ręki i nosił garb. Niczego by to nie zmieniło, chociaż – kto wie? – łatwiej myślałoby się o sobie samej. Nie lepiej, tylko łatwiej. U nas mówili: jeśli kobieta nie zazna szczęścia w dniu ślubu, to i nie dostanie szczęścia w życiu. Ja zaznałam szczęścia przed ślubem, i to nie ze ślubnym.

Dawno, dawno temu, tamtego wesela, za tyloma zyciami, za wieloma wojnami i jedną rzeką, przed Potopem, za lasem ciągnącym się aż po obce krańce, tamtego dawnego dnia, który opierał się utonąć w nocy, poczułam zmęczenie. Najpierw rozboleły mnie nogi od obtańcowywania, potem usta od uśmiechania. Przysiadłam dla złapania tchu i zrozumiałam, że jestem szczęśliwa. Związana kłamstwem, mimo to szczęśliwa. Nie chciałam tego szczęścia, nie chciałam tego zadowolenia z Miszy i z siebie, które powolutku mnie zdobywało. Drobne ukłucia, jak od komarów albo sosnowych igieł.

Misza nie okazywał się tak zły, jak pragnęłam, żeby był. Nie był odrażający, tylko przystojny. Był na odwrót tego, czego potrzebowałam, by ocalić w sobie Joachima.

(Teraz aktorka grająca Sonię robi długą pauzę. Dłonie wyciąga przed siebie i składa z nich gniazdo dla ptaków. A potem je zaciska, miażdżąc pisklęta).

Mogłam mieć zupełnie inne życie. Dobre życie. Takie, co nazywają dobrym. Gospodarka i dzieci. Chłop jak się patrzy u boku. A na odwrocie stara tajemnica, jak pocztówka od kuzyna z Ameryki – mój jasny Joachim. Najświatlistszy.

Tak, mogłam mieć inne życie. Dobre.

Uwierzyłam w to. Siedziałam na ławie, spocona, przed stodołą. I uwierzyłam, że mogę mieć dobre życie. Zwyczajne.

(Aktorka grająca Sonię milknie. Na scenę wpada gromada podchmielonych weselników).

Na scenie zbudowano stodołę, dekoracja mało symboliczna, bardzo dosłowna. Stodoła pełni funkcję sali weselnej, gdzieś przy ścianach straszą echa z Wyspiańskiego; polski teatr nie potrafi się rozstać z truchłami, tęskni do mamy i taty, tatę zabili w powstaniu, mamę bołą piersi od mleka i powieki od łez. Z desek zbito ławy i stoły. Ściany podpierają snopki słomy. Snopki, jakżeby inaczej, przypominają chochoły.

Rozmawia dwóch mężczyzn.

MĘŻCZYŻNA PIERWSZY

Sońka kurwa.

MĘŻCZYŻNA DRUGI

Strach mówić głośno takie rzeczy.

MĘŻCZYŻNA PIERWSZY

Sońka kurwa. Z każdym się kładła.

MĘŻCZYŻNA DRUGI

Gadanie. Z tobą poszła?

MĘŻCZYŻNA PIERWSZY

Najpierw się broniła. Tak po babsku, tak od tyłu, żeby mnie rozgrzać. Na zachętę się opierała. Dogodziłem jej, jak trzeba, w zadnią dziurkę, że chodzić nie mogła.

Mężczyźni rechoczą.

Rozmawiają dwie kobiety.

KOBIETA PIERWSZA

Taka cicha, taki *lelak*⁵³. A nam Miskę sprzątnęła spod spódnicy i ołtarza.

KOBIETA DRUGA

Nie ma sprawiedliwości.

KOBIETA PIERWSZA

Jest jednak jakaś Boża sprawiedliwość. Zobaczysz. I na nią spadnie kara. Zawsze spada.

⁵³ lelak – głupek, popychadło

KOBIETA DRUGA

Co z tego, że spadnie, jak będziemy stare u ojców i matek?

Kobiety milkną.

Rozmawiają: Mężczyzna, Pan Młody i Głos z offu.

MĘŻCZYŻNA

Powiedz prawdę, ty z Sońką od zawsze? Po sekrecie?

PAN MŁODY

Zawsze jej chciałem. No i nadarzyło się.

MĘŻCZYŻNA

Zdarza się.

PAN MŁODY

Zdarza.

MĘŻCZYŻNA

Co teraz?

PAN MŁODY

Teraz wojna.

GŁOS Z OFFU

Czas małych zdarzeń jeszcze nadejdzie. Ale nie dla was. Dla was nie. Was już zmiotło duże.

Wielu dni nie zapomnę do końca życia, czyli już tylko do poranka, tłusto lśniąca linia smoły się zbliża, parzy w pięty. Zabawa weselna trwała i trwała. Goście zwalali się na podłogę, spali, trzeźwiali, spadali na powrót. Nie widziałam końca tego smutnego wesela. Misza rozkwaśił komuś nos. Pili, gadali, to i się pobili. Jak to mężczyźni. Nic niezwykłego. Nie umiałam dojść, czyj nos przestał sterczeć, wszystkie w zasięgu wzroku były czerwone i jak komarami pocięte.

Wymknęłam się ze stodoły. Już szarzało. Drogą przejechały dwie niemieckie ciężarówki. Niemcy nie zauważali ludzi bez rozkazu. Bardzo karni. Jeśli jakiś naród może pomaszerować do nieba i przestrzegać dziesięciorga przykazań, to chyba tylko oni.

(Uwaga na stereotypy! – zanotował Igor).

Patrzyłam za oddalającymi się samochodami. Patrzyłam obojętnie.

Potem szary obłok pyłu. Pył opadł. Motor z trzecim kołem i kołyską. Motor zatrzymał się. Pomyślałam, że to Joachim wrócił. Że mnie uratuje. Że się mną zaopiekuje. Tylko przed kim miał on mnie ratować? I kim się zaopiekować?

Motor ruszył i zniknął. Przejechał Słuczankę i skręcił w lewo, na Królowe Stojło, tam gdzie powinnam być. Być i czekać. Dziś nie wiem, czy tamten motor pojawił się na drodze, czy tylko przejechał w mojej głowie. Szary pył i ciemny motocykl. Oko miałam suche, brzuch ściśnięty materiałem. Taki ściśnięty brzuch różne rzeczy zdoła wypatrzeć pępkiem. I któż może wiedzieć, czy to ja patrzyłam, czy byłam patrzona?

Przeprowadziliśmy się do małego domu, a właściwie przybudówki, którą łaskawie odstąpili nam mój ojciec. Mieliśmy tam mieszkać do czasu, gdy teść przeniesie się do nowego domu, a my zajmiemy jego stary. Wołałabym zamieszkać z teściem. Nie musiałabym oglądać tak często ojca ani braci. Przekonałam się jednak do pomysłu, a potem namówiłam Miszę. Bo gdyby jakimś zrzędzeniem losu Joachim się odnalazł, odnalazłby się nie gdzie indziej, tylko tu.

Powiedziałam Miszy: – *Chaczu paczakać*⁵⁴, pomieszkajmy z moim ojcem. Dobrze, powiedział, daję ci rok na czekanie, ani dnia więcej. Więcej do tego nie wracaliśmy, a rok, okazało się, to aż nadto.

Pracowałam dużo, do obowiązków starych doszły nowe. Mój piekielny jak ze świętych ksiąg rodziciel nie zamierzali tanio odstąpić praw do tego kurnika, który na kilka miesięcy miał się stać naszym domem. Pracowałam dużo, brzuch rósł. Byłam wiecznie zmęczona i niedospana. Najpierw praca, potem kilka godzin snu, sen, praca, wojna, sen, praca, strach. Drugiego kwietnia urodziło się dziecko, chłopiec. Łysy i brzydki. Do Joachima niepodobny, do mnie niepodobny, najbardziej przypominał ciasto drożdżowe. A we wsi mówili: wykapany Misza, wykapany Wańka, wykapaną ty. Nie jestem łysa, żartowałam, nie mam kuśki, żartowałam, a kobiety się śmiały, jakby nie miały trosk na głowie, a krzyża przetrąconego od roboty, a snów przeżartych strachem, a strachu gęściej niż piasku na podwórzu.

Pracując i śpiąc, nie wchodząc nikomu w drogę z braku czasu i z niechęci do sporów, nie zauważyłam, że sąsiadki zmieniły front. Przestałam być niewidzialna, Misza wydobył mnie z cienia. Zaczęto okazywać mi pewne względy, już nie spluwano na mój widok ani się nie żegnano znakiem krzyża, ani nie przechodzono na drugą stronę, już wolno było ze mną pogawędzić.

Wybraliśmy imię. Mikołaj. To dobre imię. Był taki święty cudotwórca.

Sroga zima trzymała mocno, a jak wreszcie śniegi puściły, to okazało się, że świat składa się z błota. Wojna coraz rzadziej o nas zapominała. Kontyngenty, partyzanci, każdy czegoś chciał, a jak chciał, to i sobie brał. Przychodzili i zabierali, najpierw po dobroci, a później też po dobroci, tylko z wycelowaną bronią.

Ilu ich było! Nadziwić się nie mogłam, walczyli między sobą jak mrówki, a nam mówili, że to dla nas, że walczą w naszym imieniu, prawie jak *Isus*, on też umarł dla nas. I co się potem stało? Po co? Nigdy jeszcze, nie za mego życia, tak wielu nie walczyło w imieniu tak niewielu. W czas wojny różne plagi spadają, nam taka się dostała. Urodzaj obrońców.

Powinna we mnie rosnać miłość do Mikołaja, rosła tylko nienawiść do ojca. To jego obwiniałam o wszystko, co poszło nie po myśli, *u buchtu. W pizdu*⁵⁵. To jego obwiniałam o moje kłamstwa. O zawaaloną stodołę. O martwe cielę. O kuny w kurniku.

Misza odczekał miesiąc od narodzin Mikołaja, po czym zaczął spełniać powinności małżeńskie, do czego go nie zniechęcałam, muszę przyznać. Wracałam do świata żywych z jakiejś dali, niby po długiej i wyniszczającej chorobie, zza jakiejś jaskry, niczym owad widziany przez denko szklanej butelki. Pracowałam więcej, niż musiałam, żeby zasłużyć na kamienny sen. Zdarzało mi się nucić Mikołajowi. Zdarzało mi się śmiać. Zdarzało mi się wyczesywać do łśnienia sierść Borbusa. Zdarzało mi się plotkować z babami.

Zdarzało mi się dotknąć dłonią nieogolonego policzka Miszy. Zdarzało mi się przejechać

⁵⁴ Chaczu paczakać. – Chcę poczekać.

⁵⁵ u buchtu, w pizdu – tu: na próżno

palcami po jego włosach. Zdarzało mi się nawet gniewać na niego za jakieś urojone przewinienie.

Zdarzało się.

Po trudnym sukcesie *Królowego Stoja* Igor postanowił jeszcze dokładniej poznać historię Soni. Sonia już nie żyła. Nieżycie nie przeszkadza w poznaniu czyjegoś życia. Korzystając z rozmaitych źródeł i koneksji, zdołał ustalić, kim był Joachim.

Joachim Castorp, mdląco znaczące nazwisko, urodzony 26 lipca 1913 roku w Gdańsku. Jedyne dziecko ustosunkowanych rodziców. Ojciec był prawnikiem, a matka słynęła – co dość w tamtych czasach powszechnie wśród zamożnych mieszczan – ze zdolności parapsychicznych; pewnie dzięki nim udało się jej przenieść znaczną część fortuny za granicę, jeszcze przed wybuchem wojny. Z niejasnych przyczyn Joachim oddał swe życie nowej władzy, zapalał miłością do Wielkiej Rzeszy i jej przywódców. Doprowadziło to do konfliktu z rodzicami, solidnymi i mieszczańskimi, nadto wątpięcymi, by eksterminacja jakiegokolwiek rasy mogła położyć fundamenty pod szczęśliwszy, i bogatszy, porządek. Bardzo prawdopodobne, że Joachim spotkał się z rodzicami po raz ostatni w 1937 roku. Ojciec zmarł rok później. Matka przeżyła wojnę.

Joachim został ranny w 1942 roku. Dokumenty nie precyzują miejsca ani sposobu, w jaki odniósł rany. Pewne poszlaki pozwalają przypuszczać, iż mogło się to wydarzyć w jakiejś podlaskiej miejscowości. Wiadomo jedynie, że rekonwalescencja nie trwała zbyt długo, a jeśli nawet to Joachim szybko zniknął z medycznej ewidencji. W 1944 roku, najprawdopodobniej wskutek wstawiennictwa matki, udało mu się przedostać do Szwajcarii. Stamtąd, bardzo okreżną drogą, do Ameryki Środkowej. Zmienił nazwisko i przeszłość.

Najpierw czerpał zyski z plantacji trzciny cukrowej, potem kakao, kawa, aż wreszcie banany i ananasy. I turystyka. Nigdy się nie ożenił. Zmarł, w pełni władz umysłowych, w sierpniu 2003 roku. Nie miał spadkobierców. Majątek zapisał na rzecz fundacji walczącej o prawa zwierząt. Chyba do ludzi stracił serce.

Nic ponadto nie udało się ustalić. Igor nie dowiedział się o Joachimie wiele. Okazał się zaradny, to po pierwsze. I – po drugie – przeżył wojnę, choć Sonia twierdziła inaczej.

Mówiło się, że wojna niedługo już potrwa. Niemcy przegrywali, to nie miało dla mnie żadnego znaczenia. Nie było Joachima, nie było Miszy, nie było Mikołaja. Nie było Janka i Witka, nie było ojca. Nie było wielu sąsiadów. Z tych niebyć cieszyło mnie jedynie niebycie ojca. Im dłużej go jednak nie było, tym mniej się umiałam cieszyć. Bo człowiek umie się cieszyć z tego, co ma, a nie z tego, czego nie ma, chyba że jest *Palak*; oni mają inaczej, u nas jednak ich mało, namnożyli się dopiero po wojnie. Skąd ich tylu, skoro podobno tak umierali za powstań i wojny?!

Ze starego porządku pozostali mi tylko kot Wasyl, dwie krowy: Zorka i Malina, i Borbus. Borbus wyrósł ponad inne psy. Większy niż cielak, a nie mogłam go dobrze karmić, z jedzeniem nie staliśmy najlepiej. Zupy z pokrzywy, łowione w rzece *kaluczki*, rybki niewiele większe od paznokcia starej baby. Jedliśmy wszystko, co zapychało żołądek. A Borbus rósł i rósł. Jakby karmił się brakiem, jakby każda śmierć przydawała mu siły i wielkości. Kilka razy Borbus upolował szaraka i przyniósł do domu. To było święto. Bo święto to już nie były ikony i kropidło, tylko prawdziwe mięso.

Chyba zaczął się wrzesień. Niemcy niespodziewanie otoczyli Słuczankę i Królowe Stojło. Nie szło im o nic specjalnego. Pewnie dostali rozkaz wybić tylu, ilu się da, najlepiej oszczędzając kule. Większości udało się ukryć albo uciec. Ci, którzy nie mieli szczęścia albo kryjówek, zostali wygonieni z chałup i popędzeni na drogę. Przed mostem stała ciężarówka. Kazali nam wsiadać. Byłam ostatnia, trochę oddalona od grupy, bo od śmierci Joachima kulałam, dlatego właśnie przeżywali mnie Sońka Kulhawa. Pomyślałam, że jak wsiądę do ciężarówki, to mnie zabiją. Nie chciałam czekać na śmierć. Straciłam już wszystko, chciałam i to mieć za sobą najprędzej, to znaczy – życie.

Dlatego zaczęłam uciekać w stronę zarośli nad rzeką. Udało mi się wymknąć, bo powstało jakieś zamieszanie, zresztą nie pamiętam, a poza tym Niemcy nie spodziewali się nieposłuszeństwa. To bardzo porządny naród, jak trzeba ginąć albo zabijać, to giną i zabijają. Gdyby Ruskie byli równie porządne, przegraliby wojnę jak w dym.

Przestraszyłam się, że przeżyję. *Ihnat*, wyobraź sobie tylko, jaka żałosna była ta moja ucieczka. Właśnie ja, jedyna utykająca z dwóch wsi, zbiegałam w stronę rzeki, a właściwie odkustykiwałam. I Niemcy zorientowali się dość późno, pokazał im mnie sąsiad ze Słuczanki. Niemcy zaczęli krzyczeć, a ja, mimo że chciałam żyć, bo człowiek zawsze chce żyć, nawet jak mu się wydaje, że wszystko stracił i nie ma na co czekać, a ja uciekałam, jedna jedyna. Niemcy krzyczeli, ktoś wycelował we mnie broń. Wiem, bo obejrzałam się za siebie.

(Żona Lota, zanotował Igor; szkoda, że skojarzenie nie do wykorzystania).

Wtedy na tego Niemca skoczył Borbus. Nie wiem, skąd się wziął. Niemiec strzelił dwa razy. Ja krzyknęłam, raz. Kule: jedna z moim imieniem, druga z przezwiskiem, trafiły w mego psa. Umierali jednocześnie. Mój ukochany Borbus i niemiecki żołnierz z rozplatanym gardłem. To dlatego udało mi się uciec. Uciekając, nie pomyślałam, że mogę czegoś żałować. Zapomniałam o moim psie. Borbus mnie ocalił.

Zawsze znajdowałam kogoś do oplakiwania. Kiepska pamięć; kto ma kiepską pamięć, ten dostaje długie życie.

Żałowana ciężarówka odjechała. Nie zobaczyliśmy nikogo z wywiezionych. Podobno za Waliłami kazano im wykopać głęboki dół, potem powiązano im ręce i nogi, potem zrzucano żywcem do dołu. Potem dół zasypano. Potem ziemia się poruszała, gąsienice młóciły ziemię. Potem wyrosły na ziemi trawa i brzozy. Potem zapomnieliśmy. A może oni wszyscy nie istnieli?

Nigdy ich nie było?

Cały dzień przesiedziałam w zaroślach. Dopiero wieczorem odważyłam się zerknąć na drogę. Znalazłam ciało Borbusa. Niemcy zostawili je tak, jak upadło. Poszłam do chałupy. Wzięłam taczkę i przewiozłam zewłok. Na podwórku, niedaleko kurnika, wykopałam głęboki dół. Była już noc, prawie nic nie widziałam. Potknęłam się i wpadłam do dołu. Nie miałam siły się wydostać. Wiedziałam, że nikt mi nie pomoże. Nikogo nie było. Wiedziałam, że wojna się niedługo skończy, bo już nie było ludzi. Poginęli. A jak ludzi nie ma, to nie ma i wojny.

Rankiem wylazłam z dołu. Biodro paliło żywym ogniem. Kury dziobały ciało Borbusa. Ciało Borbusa zeszywniało, jednak oko – otwarte – nie było matowe. Język zsiniał, wylewał się spomiędzy zębów jak lodowy *lizun*⁵⁶. Zakrzepłe grudki krwi. To była krew tego niemieckiego żołnierza. Nie różniła się niczym od krwi mojego psa. Uczyli mnie, że człowiek ważniejszy od zwierzęcia. Krew tego nie potwierdzała. Borbus był więcej niż człowiek. Zdjęłam obrożę. Zepchnęłam ciało. Przywalałam ziemią. Usiadłam na kopczyku poruszonej ziemi.

Siedziałabym do końca wojny, gdyby nie krowy. Trzeba było iść w las, trzeba było wydoić, bo choć schowane, to doły się jak widoczne. No to poszłam. Pokuśtykałam.

A jak wróciłam, a długo mnie nie było, to już przyszli Rosjanie. Przyszli Polacy. Mówili, że będzie lepiej niż przed wojną. Nikt im nie wierzył. Nie było komu wierzyć. Ci, co mogliby, dawno odeszli. A ci, co przyszli, wkrótce poszli dalej powtarzać swoje bajki.

Dawne, bardzo dawne czasy. Człowiek wolałby nie pamiętać, nie słyszeć, wolałby dołączyć do nieobecnych. Jak ktoś nie żyje, czy to znaczy, że kiedyś był naprawdę? Czy już nie? Nigdy?

⁵⁶ lizun – rodzaj śnieżnej skarpy

Nie było dłuższego dnia i dłuższej nocy od tej, którą wspólnie spędzili Sonia i jej gość. Czwarta chałupa w Królowym Stojle to nie tylko dziura w sieci telefonii komórkowej, to nie tylko nieobecność w zbiorze danych Głównego Urzędu Statystycznego, to nie tylko zmarnowane przez *baciuszkę* pieniądze na paliwo do cennego jak pagoda i jak pagoda trzymającego się drogi *daewoo espero* (*espero* jak *ira*, hiszpańskie słowo, chociaż znaczy coś wręcz przeciwnego).

Bo czwarta chałupa w Królowym Stojle to także osobliwość, a we wnętrzu każdej osobliwości czas płynie inaczej, śmierci rozkładają się ze sporym nieprawdopodobieństwem statystycznym, język zaś potrafi spleść figla, tak użytkownikowi, jak i gramatyce.

Bo w czwartej chałupie w Królowym Stojle, gdzie nie było tylu rzeczy, inne rzeczy występowały niby fale z morza, a kości wstępowały w piasek. Lata rozbiły się o osoby. Ignacy się starzał, Sonia młodziła, Igor milczał, ona zaś nieledwie mogłaby uchodzić za córkę swego gościa.

Bo w czwartej chałupie w Królowym Stojle koniec spotykał się z początkiem, śmierć z narodzinami, przeszłość z przyszłością, a obydwie odważane woreczkami popiołu. Niby w rzędzie ikon w Deesis ciągnęły się napisane obrazy: dwanaście psów Borbus z aureolą gotycko stylizowanej obroży, dziewięć kotów o oczach zielonych i patrzących tam, gdzie padał cień lampek oliwnych.

I wielka stała się radość w czwartej chałupie w Królowym Stojle. Sonia się radowała, bo odchodziła w chwale.

Jestem Sonia Biała, jestem Sonia Kulawa, jestem ostatnia jak moja suka Borbus Dwunasta, jak mój kot Jozik Pasterz Myszy, ostatnia z rodu jestem, moja krew została wymazana ze świata w czasie wojny, później już tylko schła. Jestem z Królowego Stojła, gdzie dumni królowie popasywali, jestem z domu Trochimczyk, jestem matką, której zabito dziecko, jestem siostrą, której zabito braci, jestem córką, której zabito ojca, jestem żoną, której zabito męża, jestem kochanką, której zabito kochanka, sąsiadką bez sąsiadów, rozpaczą bez strun głosowych, skargą bez spowiednika, spowiedzią bez rozgrzeszenia.

(Aktorka siada na ławeczce ustawionej po prawej stronie sceny. Obiera ziemniaki. Bierze je z koszyka i wrzuca do wiadra).

Jestem Misza, mam nazwisko, miałem rodziców i braci, miałem żonę, miałem syna, gospodarkę, dwa konie miałem, dziewięć krów, a w cerkwi miejsce przy samutkim świętym Mikołaju. Miałem przystojną twarz, twarde mięśnie i duży członek. Miałem plany. Głowę i ręce. A wszystko na swoim miejscu. A teraz mam mogiłę w lesie. Nie mam w tej mogile ciała. Ciało rozwłóczyły zwierzęta.

(Aktor grający Miszę siada obok Soni. Do pustego wiadra wpadają z hałasem obrane ziemniaki).

Jestem Ignacy, występuję w trzeciej osobie. Występuję przypadkowo, występuję przed samym sobą. Siedzę teraz w ostatnim rzędzie, a może leżę w łóżku. To zależy od nocy. Jestem strażnikiem tej bajki. Jej ryzykownym redaktorem i przygodnym bohaterem. Reżyserem i historykiem. Wyjdę z teatru ostatni albo pójdę do sklepu nocnego. To zależy od nocy, czy siedzę w ostatnim rzędzie, czy leżąc w łóżku, czekam na bezsenność.

(Aktor grający Ignacego siada obok Soni i Miszy).

Obierałam kartofle. Na ławce przed chatą. Było ciepło i sucho. Cicho. Borbus leżał zwinięty w kłębek. Wasyl wygrzewał się na kamieniu. Ojciec i bracia w polu. Misza pomagał teściowi. Mikołaj spał, spił mleko z jednej piersi, skrzywił się na drugą. Obierałam kartofle. Myślałam o rybach. Bardzo zachciało mi się ryb. Myślałam o dziurze w baranym kozuchu. Trzeba zacerować.

I wtedy, dawno, dawno temu, w najmniej odpowiednim momencie powrócił Joachim. Czekałam na niego. To prawda. Czekałam na niego jednak nie po to, żeby się go doczekać. Czekałam, żeby nie wrócił. Żeby jego skóra ostygła, jak ostygły moje wspomnienia. Żeby jego oczy sięgały mi najwyżej do kostek, a nie – w nich utonąć.

Czekałam, żeby się nie doczekać. A jednak: stanął przede mną. Zobaczyłam czubki zakurzonych butów. Też był sierpień. W zeszłorocznym sierpniu pulsowały soki, a w tym, dawno, dawno temu, zasychało w przełyku, przed Potopem.

Nie siedziałam w najlepszej sukience. Siedziałam w burym kaftanie. Nie byłam wystrojona, tylko trochę zmęczona. Byłam zniszczona i bardzo zapracowana. Zrogowaciała i wychudzona. Ujrzałam czubki zakurzonych butów i kartofle wypadły mi z rąk. Potoczyły się po ubitej ziemi. Nie śmiałam podnieść głowy, a Joachim nie śmiał dotknąć mojej twarzy. Borbus przyniósł mi kartofla w zębach. Wciskał w rękę i merdając, czekał na nagrodę.

Joachim klęknął. Wyjął *bulwu*⁵⁷ z psiego pyska. Pogłaskał psa. Potem przeczytał srebrne litery z obroży.

– Borbus – powiedział.

Borbus szczechnął radośnie. Ja nic nie odrzekłam.

– *Zu spät?* – zapytał.

Zrozumiałam. Nie umiałam odpowiedzieć. W żadnym języku. Bo jak powiedzieć, że już za późno i jednocześnie za wcześnie? Że nie pozwalał mi żyć, ponieważ go nie było, a teraz mnie zabija, bo jest? Jak to wszystko powiedzieć? Jak odpowiedzieć? Jak?

Wtedy zapłakał Mikołaj. Zostawiłam go w kołysce, w sieni. Mikołaj płakał coraz głośniej. Powinnam wstać, nadstawić drugiej piersi. Ja jednak nie utrzymałabym nawet noża, co dopiero dziecko. Mikołaj płakał.

Joachim wstał i wszedł do sieni. Nikt go nie zaprosił, a wszedł do środka, jak to Niemcy. Dziecko zamilkło. Joachim wrócił z Mikołajem na rękach. Mikołaj gaworzył. Coś opowiadał. Może tak robią niemieckie dzieci, bo ja nic nie rozumiałam, a Joachim rozumiał wszystko. Rozmawiali jak ojciec z synem. Jak krew z krwią, jak świerszcz z nasionem.

Moj Hospadzi, nie potrafiłam nawet na nich spojrzeć. Siedziałam nad wiadrem, rozsypane ziemniaki jak aureola świętych, moje ręce z odciskami jak puste czarki, a kaftan jak *pakrowa*⁵⁸.

Joachim ukląkł.

– *Danke, vielen Dank* – powiedział tak lub inaczej, nie mi rozsądzać, co on mówił.

Dotknął mnie. Też jego słowa. Dotknęła mnie jego ręka. Znowu wachałam wosk pieczęci, którą *Boh* połączył nasze życia. Ta pieczęć, śmietana i truskawki, pszczele plastry i kadzidło, grzech i wino, spódnica matki i gwiazda z nieba.

Dotknął mnie. A ja pojęłam: Sońka, podniesiesz wzrok i zginiesz. Sońka, spojrzysz a zabijesz. Podniesiesz wzrok, Sońka, a zabijesz wszystkich, pojęłam. Tamten sierpień to był

⁵⁷ bulwa – ziemniak

⁵⁸ pakrowa – ikona Matki Boskiej, ale też święto Opieki Matki Bożej

początek. Ten sierpień to koniec, jeśli podniesiesz wzrok.

Jeśli.

Podniesiesz.

Wzrok.

Zacisnęłam powieki. Chciałam, żeby Joachim ułożył Mikołaja: w kołysce, pomiędzy kartoflami, gdziekolwiek. Chciałam, żeby odszedł. Żeby nie przyszedł. Żeby nigdy nie odchodził. Zacisnęłam powieki.

Zaciskałam powieki.

Zaciskałam powieki tak mocno, że powinnam je zadusić, one jednak żyły. Trzepotały. Słabły, jednak żyły, jak ryby na piasku.

Ile mogłam się opierać? Na kim mogłam się opierać?

Nie umiem tego nazwać. Wyobraź sobie tylko, *Ihmat*, powraca osoba, którą kochasz nad życie. I zdajesz sobie sprawę, co oznacza „nad życie”. Że tu wcale nie idzie o twoje życie. Że „nad życie” to życie twego męża, twego syna, twojej rodziny.

Zaciskałam powieki. Z przerażenia. Nigdy nie czułam takiego przerażenia. Bałam się, że przegram, że zaraz na niego spojrzę. Bałam się. Bałam się o siebie, o Joachima, o bliskich, o czas. Tak się bałam, że powieki przysłonił mi kir. Spadłam z ławki, chyba wymiotowałam.

Kiedy otworzyłam oczy, wpadłam na jego twarz. Wiedziałam, że to koniec. Poczułam jakąś ulgę. Stało się. Już nic ode mnie nie zależy. Próbowałam. Próbowałam najbardziej na świecie. Nie oszukiwałam.

Kiedy otworzyłam oczy, wpadłam na jego twarz, jak na ścianę, z impetem. Postarzał się w ten czas, gdyśmy się nie widzieli. Oczy miał ogromne, wychudł, a w tych oczach widziałam siebie. Nie tę jednak siebie w burym kaftanie, postrzępionym warkoczu i płaskim oku.

Kiedy otworzyłam oczy, wpadłam na jego twarz.

Zmienił się, ale nic się nie zmieniło.

Kiedy otworzyłam, było już po wszystkim.

Sonia zamilkła. Patrzyła na gościa ponad stołem przykrytym ceratą. Patrzyła jednym okiem w kolorze niebieskich kafelków, drugim – szarym i matowym niby polny kamyk. Sonia patrzyła na Ignacego, który otrząsnął się z Igora i już na dobre, przynajmniej tamtej chwili, powrócił do prawdziwego imienia, pierwszego i od dziadków, stąd i donikąd. Patrzyła okiem nocy, jak ćma, która nie widzi, tylko zmierza do źródła blasku, będącego krynicą śmierci. Zdjęto z niej odpowiedzialność, wyznaczono marszrutę, pożegnano z honorami i ostatnim namaszczeniem, oddano salwę ku czci, choć jeszcze żyła, wskazano miejsce na ceracie, gdzie spadnie ze skrzydłami bez pyłku i ze śladami popiołu. Popiół też potrafi latać.

– Znikłaś – powiedział Ignacy. – Znikłaś.

Po raz pierwszy i ostatni Ignacy zwrócił się do Soni w drugiej osobie. To jest ten moment historii, kiedy wszystko się decyduje. To jest ten moment, podług którego dzieli się życie na wcześniej i później, na dawno i dawno temu, ale przede wszystkim na nigdy i nigdy więcej.

– *Ja prapała. Prapała.*⁵⁹

Sonia zamknęła oczy. Powieki trzepotały. Jakby ostatni raz odgrywając walkę sprzed dziesiątków lat. Walkę zakończoną już, przeżyta, odmierzona, zapisana. I ukarana, choć sprawiedliwość to nie jest ludzkie słowo.

⁵⁹ *Ja prapała. Prapała. – Ja przepadłam. Przepadłam.*

Nie umiałam przestać. Patrzyłam na Joachima. Pływałam w wodzie jego oczu. Dotykałam ziemi jego skóry. Wychudł i się postarzał. Półklęczał nade mną. Stało się. Zdarza. Stało się.

Zanurzałam się w każdej zmarszczce, potykałam o przebarwienia skóry, przekraczałam nabrzmiałą żyłę skroni, śledziłam pojedyncze siwe włosy, pionowe linie na czole, nagłe kurze łapki w kącikach, spierzchnięte wargi.

A potem zaczęłam płakać.

Stało się. Zdarza się.

Byłam jak niewyczerpana studnia, jak złe i głębokie źródło, jak dzikie mięso rosnące przeciwko i wbrew, płakałam i płakałam. Miałam kogo opłakiwać. Rząd mogił. Obok położył się Joachim. Objął mnie.

Wiedziałam, że wszystko wróciło. Nie ma ratunku. Nie ma wytłumaczenia. To Joachima kochałam. Kochałam ponad wszelką miarę. Ponad życie Mikołaja, Miszy, braci.

Kiedy mnie dotykał, kiedy oddychał w moją skórę, kiedy prowadził moją dłoń po linii swego kręgosłupa, drobny krąg po kręgu, skorupki pożądania, kiedy był obok, woń tataraku – ja znikalam, a równocześnie byłam bardziej prawdziwa i cielesna niż kiedykolwiek.

Mój Joachim, jasny Joachim, żrenica mojej duszy, gorąc moich łędźwi, aureola moich świętych, przekleństwo moich bliskich. Mój Joachim. Mój złoty Joachim. Joachim mówiący obcymi językami i otwierający mnie na drzenie. Na spazmy, goniące po strunie, która wybrzmiewała tylko przy nim.

Leżeliśmy obok siebie. Płakałam ze szczęścia i nieszczęścia. Czułam to, co czuje bohater historii, gdy dociera do zakończenia. Wiedziałam, że zakończenie będzie straszne, że pewnie nie przedrę się przez ostatnią kropkę. Wiedziałam. Nim jednak koniec się wydarzy, mieliśmy przed sobą kilka akapitów. Szczęśliwych akapitów. Szczęśliwych, bo on mnie odnalazł. Bo występowaliśmy wspólnie w zdaniach.

Leżeliśmy obok siebie jak na desce obrazu. Nieruchomo. On i ja. Pomiędzy nami Mikołaj, teraz cichy i uśpiony. W tle ziemia z kępkami trawy. Mój bury kaftan i jego czarny mundur. Borbus i Wasyl. Srebrne litery i podwójna błyskawica.

Leżeliśmy obok siebie, a ja powoli się uspokajałam. Wiedziałam, że nic już nie mogę zrobić.

Stało się. Zdarza.

Leżeliśmy obok siebie jak jabłka, co spadły z jabłoni, tym razem jednak nikt niczego nie odkrył.

Sonia milczała. Gdyby porachować minuty jej życia, okazałoby się pewnie, że przemilczała własne życie. Że towarzyszami rozmów były krowy, kot i pies. Łąka, rzeka i przedmioty. Siedzi teraz, różnooka, młoda i różowa, strzelista jak topola, świeża jak pościel zabrana z wiatru. Zbliża się do końca własnego życia. Zbliża się do końca opowieści. Bierze kłębek materiału. Zeschłe niezapominajki i włókna bawełny. Ciemna plama krwi. Tej starej, z bajek, i tej nowej, z nosa Ignacego, choć i Igor pewnie coś dokapał.

Włókna materiału i łodyżki kwiatów odżywają pod dotykiem jej skóry. Sonia siada na *leżajce* z bukietem kwiatów. Kruche niebieskie płatki z żółtym, zetłętym okiem pośrodku. Jozik Pasterz Myszy z niechęcią ustępuje miejsca swojej pani. Omija łyż: grudkę soli i polny kamyk. Jozik wygina własne ciało w kalekę omegę z pęczkami sierści i pyszczkiem z dziurami po kłach. Wskakuje na stół. Patrzy przez okno. Dwa uderzenia łąpą w szybę są jak dwa kliknięcia myszką: zamknij ikonkę i jeszcze: potwierdź.

Jozik uderza dwakroć w okno. Za oknem noc, czarny prostokąt w białej ramce. Za oknem noc, która po drugim uderzeniu przemienia się w jasny dzień. Jozik mruży oczy. Źrenice zwężają się, nie szersze niż dwa sztylety, patrzą w dzień, jak źrenice kozy. W słoneczne promienie.

Joachim odszedł. Wiedziałam, że spotkamy się następnego dnia. Zrobiłam, co musiałam. W nocy Miszy zebrało się na kochanie. Oddałam się, bo przecież tylko ciała mi starczało dla wszystkich. Serce, parzące i zajęte. A mój mąż nie był złym człowiekiem. Podzielił się ze mną wszystkim. Podzielił się nawet moim kłamstwem. Mój mąż nie był złym człowiekiem.

Misza leżał na mnie. Miarowy oddech grzał moje prawe ucho. Myślałam, że usnął. Myślałam, że ta noc jest naszym pożegnaniem. Szepnęłam: – *Czamu ty mnie uziął, czamu?*⁶⁰ – To nie było pytanie. To była skarga i było podziękowanie. Myślałam, że spał.

Nie spał. Poczułam, jak napinają się jego mięśnie.

– *Jon wiarnuŕsa* – powiedział. – *Jon wiarnuŕsa znou*⁶¹ – powiedział. – A jego *znou* zabrzmiało w moim uchu, w jego ciepłym oddechu, jak *krou*.

⁶⁰ Czamu ty mnie uziął, czamu? – Czemu mnie wziąłeś, czemu?

⁶¹ Jon wiarnuŕsa. Jon wiarnuŕsa znou. – On wrócił. Wrócił znou.

Na scenie wielkie łóżko ze śnieżną pościelą. Na łóżku dwie osoby: aktorzy grający Sonię i Miszę. Leżą objęci. W tle ciężki purpurowy materiał, półokręgiem otaczający łóżko, jak firana albo wojna. Łóżko ustawiono w ten sposób, że widzowie mają wrażenie, iż spoglądają z góry na Sonię i Miszę. Jakby unosili się w powietrzu, jakby wolno im było ferować wyroki, choć to przecież tylko scenograficzna sztuczka. Pierwsza Scena Przebudzenia.

SONIA

Po co mnie przygarnąłeś? Po co?

MISZA

On wrócił. Wrócił znowu.

Sonia nie odpowiada.

Wypowiedz imię ojca naszego dziecka.

Sonia nie odpowiada.

Powiedz. Nigdy o nic nie prosiłem. Teraz tak. Powiedz.

SONIA

Joachim.

MISZA

Joachim.

Po dłuższej przerwie.

Jaki jest?

SONIA

Płomienny.

Misza milczy.

Dlaczego skłamałeś?

Po co mnie uratowałeś?

MISZA

Dla mnie to ty jesteś płomienna.

Aktor wypowiada tę kwestię jakby przeciwko sobie; jeśli nie jest warsztatowo sprawny, niech mówi przez zęby.

Twoje kłamstwo było jak wymodlony dar.

Dostałem, czego chciałem, tak myślałem.

Niebo rozłożyło się pod moimi stopami.

SONIA

Wystarczy. Nie mów.

MISZA

Pamiętasz, cztery lata temu w Gródku, chowaliśmy moją matkę.

Pamiętasz?

Sonia milczy.

Wiem, że pamiętasz.

Że pamiętasz, jak cztery lata temu, dawno, dawno temu, na cmentarzu w Gródku podeszłaś do mnie. Miałaś na sobie najlepszą sukienkę. Tę w niebieskie kwiatki. To była twoja jedyna przyzwoita sukienka, poszerzana w miarę, jak roślaś, nie miałaś niczego ciemnego, niczego odpowiedniejszego. Dlatego założyłaś tak radosną sukienkę na pogrzeb.

Bardzo kochałem matkę. Stałem nad mogiłą z moją miłością, niepotrzebną, głupio wielką. Matki nie było. Miłość została. Ciężyła do ziemi. Jak każda miłość, prędzej czy później. Żadna miłość nie ląduje w niebie, zawsze ziemia. Ziemia.

Wtedy podeszłaś w sukience w kwiatki. Dotknęłaś mego ramienia i coś powiedziałaś. Nie wiem, co powiedziałaś, bo mnie dotknęłaś. Kiedy mnie dotknęłaś, było, jakby piorun kulisty eksplodował we mnie.

Wiem, że pamiętasz. Takich rzeczy się nie zapomina.

Coś we mnie wybuchło. Wstrząsnęło całym ciałem.

Poczułem wielką radość i wielki smutek. A wszystko od twego dotknięcia.

Zrozumiałem, że przepadłem. Że *Boh* połączył nasze życia pieczęcią. Wąchałem wosk tej pieczęci, poruszoną ziemię i woń kwiatków, kadzidło i pot, zimną wodę i słoninę.

Zrozumiałem, że przepadłem, kiedy spojrzałem w twoje oczy. Twoje szare polne kamyki. Każdego dnia, kiedy się budzę, mam przed oczyma twoje szare polne oczy. Od czterech lat. Od czterech lat widzę po przebudzeniu twoje oczy, a dopiero później słońce; kamienie, po nich światło. Taki los.

SONIA

Nie mów.

Nie mów.

Wstyd.

MISZA

Zrozumiałem, że przepadłem. Że nie mam nad sobą władzy. Odważyłem się położyć dłoń na twojej dłoni, spoczywającej na moim ramieniu. A potem czekałem. Czekałem, aż coś nas połączy. Że tamten wosk nie pachniał na próżno. Prawie cztery lata czekałem.

Kiedy skłamałaś, otworzyło się niebo przede mną. Znowu mogłem poczuć twoją dłoń na moim ramieniu. Ukłękliśmy przed naszymi ojcami.

Przyznaliśmy się do miłości. Ty milczałaś, ja nie musiałem. Ja tylko potwierdziłem to, co wydarzyło się na cmentarzu w Gródku. Na co czekałem tyle lat.

Wiedziałem, że miałaś jakiegoś Niemca. Wszyscy wiedzieli. Chcieli ogolić ci głowę,

zgwałcić, zabić. Ja ciebie broniłem. Ja im mówiłem, że tego, który cię tknie, zabiję.

To dlatego tak łatwo uwierzyli w naszą miłość. Wszyscy, Sońka, wszyscy wiedzieli, że poza tobą nie ma dla mnie świata. To dlatego tak łatwo uwierzyli. I twój ojciec, i mój. Wszyscy wiedzieli, tylko nie ty. Wszyscy, tylko nie ty.

Nie liczyłem na nic. To znaczy liczyłem, że odwzajemnisz z czasem moje uczucie. Przecież nie mieściło mi się w głowie ni sercu, że możesz nie odwzajemnić. Bo niby jak ty, cały mój świat, mógłby się mnie wyrzec?

Czekałem cierpliwie. Po tylu latach człowiek uczy się czekania. Umie czekać. Czekałem.

I znajdowałem szczęście. Budziłem się obok ciebie. To już dużo. Spałem z tobą. To dużo. Najwięcej jednak: czasami patrzyłaś na mnie, patrzyłaś szarymi kamykami z pola, a ja wiedziałem, że patrzysz właśnie na mnie. Nie na tamtego Niemca, tylko na mnie. Czasem dotykałaś mego policzka. Czasem gładziłaś moje włosy.

To są drobiazgi, ważą więcej niż przysięgi.

Powiedz, czy on, ten Joachim, jest lepszy ode mnie?

SONIA

Miszka...

MISZA

Cieszę się, że rozmawiamy. Że mówię. To mi ciążyło. Teraz będzie ciężać i tobie. Wiem, że uniesiesz. Uniesiesz, bo tamten jest dla ciebie wszystkim. Dla niego uniesiesz wszystko. Mówię, bo mi ciążyło. Mówię, żebyś wiedziała, że cię rozumiem.

Nie mogę mieć do ciebie żalu, trochę jednak mam. Wiem, że nic nie możesz poradzić. Nie możesz, a jednak nienawidzę tego szkopa.

Zabiłbym go! Gdybym jednak podniósł na niego rękę, to tak jakbym podniósł rękę na ciebie. A gdybym zabił ciebie, to zabiłbym i siebie. To grzech.

Grzech.

Grzech to sytuacja bez wyjścia.

SONIA

Jestem z tobą.

MISZA

Co?

SONIA

Jestem z tobą.

To powiedziałaś na cmentarzu, dawno temu.

Pierwsza Scena Przebudzenia. Według Igora to jedna z najpiękniejszych scen w *Królowym Stojle*. Nie oglądał jej często. Sprawiała mu głęboki ból. Zazdrościł Miszy, że kochał. Zazdrościł Soni, że kochała i była kochana.

Gdyby Igor był kimś więcej niż reżyserem, kazałby Soni zrozumieć, że Joachim to złudzenie, że Misza to szczęście. Igor pragnął dokonać korekty, dokonać ostatecznej redakcji, nawet wbrew woli bohaterów.

Gdyby miał prawdziwą zdolność wpływania na życie bohaterów, kurtyna opadłaby po słowach Soni: „Jestem z tobą”.

Ale to, niestety, kurwa, nie jest ostatnia scena, myślał.

Po raz pierwszy i ostatni, okazało się, naprawdę rozmawiałam z Miszą. Rozmawialiśmy długo w noc. Przede wszystkim mówił mój mąż. Ja niewiele. Nie musiałam. To była potrzebna rozmowa. Po tej rozmowie czułam się i ciężiej, bo Misza wyrzucił, co mu ciążyło, i lżej, bo to, co dotąd ukrywałam, trafiło tamtej nocy pod strzechę. Zasnęłam mocno. On chyba nie zasnął. Leżeliśmy przytuleni. Blisko. Pot z naszych skór zmieszał się i zlepził je ze sobą jak miód palce. Usta w usta nie wiedziały, czy to już sen przyszedł, czy może ostatni pocałunek; oddychaliśmy jedno w drugie, z wargami w przekładańcu – jego warga, oddech, moja, oddech, jego warga, oddech, moja, wojna.

Bo mój mąż to dobry człowiek. To był dobry człowiek. Może nie poszłabym za nim w ogień, na pewno pobiegłabym po wiadro wody, żeby ogień ugasić. Mogłabym przywiązać się do niego. Myśleć o nim. Tęsknić. Kto wie?

Gdyby nam dano jeszcze parę lat, myślę, że mielibyśmy dobre życie. Zwyczajne, znojne, dobre życie. W najlepszym kolorze – szarym, ale w takiej szarości, w jakiej przychodzi też wiosna, a latem rzeka błękitnieje, a zimą kołędniczy błaznują.

Następny dzień, niedziela. Wstaliśmy rano. Mieliśmy jechać do cerkwi. *Da Haradka*. Myślałam o spowiedzi. Co powiem popu i *Bohu*? Że mi małżonek odpuścił grzechy, więc i *Boh* odpuści? Że już się wyspowiadałam i spowiedzi nie potrzebuję? Że może sobie wcisnąć prosię w zadek albo schować w brodzie na jeszcze gorsze czasy?

Zrobiłam, co było do zrobienia w obojętności. Zagrzałam wody. Wyszorowaliśmy się. Założyłam najlepszą sukienkę, tę w niezapominajki. Ojciec zaprzęgli konia. Nie ujechaliśmy wiele, przez most na rozstaje: na prawo Słuczanka, na lewo polna droga, prosto – na Gródek.

Nie ujechaliśmy wiele. Na rozstajach siedziało dwóch Niemców. Obok stały motocykl i ciężarówka. I jeszcze więcej żołnierzy, trochę dalej. Nie było dość miejsca, żeby zawrócić. Zresztą gdybyśmy spróbowali, Niemcy na pewno by się nami zainteresowali, a tak pozostawał cień szansy, znużone machnięcie ręką.

Nie ujechaliśmy wiele. Wszyscy się bali. Ojciec ściskali lejce. Ja przyciskałam Mikołaja. Janek i Witek napięli się, zacisnęli dłonie w pięści i patrzyli na widły leżące na dnie fury. Tylko Misza wydawał się spokojny. Położył rękę na moim karku i lekko masował, jak wtedy, kiedy warchlakom szukał jąder, żeby je wyciąć.

Nie ujechaliśmy wiele, a zauważyłam Joachima stojącego z grupą żołnierzy. Niemcy, którzy siedzieli, czy też stali na skrzyżowaniu, zatrzymali furę. Kazali mi wysiąść. Wyciągnęli pistolety z kabur. Wsiadłam, tuląc Mikołaja do piersi. Bałam się, bały się moje nogi i moje ręce, moje płuca i serce, piersi i kobieca rzecz. Zmoczyłam się ze strachu, choć powinnam była wyschnąć. Cała byłam z waty i przerażenia, z gęsiego puchu rwanego z krwią przy skórze. Misza chciał wysiąść ze mną, nie pozwolili mu.

I stałam tak, czekając, na drżących nogach, osika i mimoza. I trzcina podcięta pierwszym przymrozkiem. Joachim coś powiedział, żołnierze się roześmieli. Potem Joachim odwrócił się i podszedł do mnie. Jego towarzysz, młodszy od Joachima, zbliżył się do fury i poczęstował wszystkich papierosami. Moi wzięli i zapalili, choć nikt na co dzień nie palił, ani mój ojciec, ani bracia, ani Misza. Nic nie rozumiałam. Bałam się. Strachu nie trzeba rozumieć.

Joachim zatrzymał się przede mną. Widziałam w jego oczach, że czekał na mnie, że się cieszy na mój widok. I pomyślałam, jeszcze nim mnie dotknął, że on nic nie rozumie, że nie wie o moim mężu, że nie zdaje sobie sprawy, przed czyimi oczyma rozgrywa się ta scena.

Nie mogłam wiedzieć, czego chce. Może chce mnie uratować i zabrać ze sobą? Uwolnić?

Ale, na miły Bóg, niech mnie nie uwalnia od mego męża na oczach męża, od rodziny na oczach rodziny!

Joachim zatrzymał się przede mną. Żołnierze rozmawiali półgłosem. Mężczyźni na furze palili papierosy, choć nikt normalnie nie palił. Tuliłam Mikołaja do piersi. Żałowałam, jak bardzo żałowałam, że nie mówię w języku Joachima. Że nie mogę ani siebie, ani jego ostrzec.

Joachim zatrzymał się przede mną. Mikołaj zapłakał. Joachim coś powiedział. Nie zrozumiałam. Mikołaj płakał jeszcze głośniejsze. Joachim wyciągnął ręce w stronę dziecka.

A potem wszystko stało się tak szybko.

Tak szybko.

Zanim podałam Joachimowi dziecko, z fury zeskoczył Witek. I Misza. Witek trzymał widły. Był szybszy. Zawsze ospały, a tamten jeden jedyny raz był szybszy. Zanim Joachim dotknął swego syna, Witek przebił Joachima widłami.

Witek przebił Joachima widłami. Całe życie ospały, a ten jeden jedyny raz szybszy od innych, szybszy. Joachim zachwiał się i upadł na mnie.

Poleciliśmy do tyłu, na moje plecy, razem, na wznak. Na opak. Rodzina, której nigdy nie było. Ojciec, matka i syn. I widły.

Jeden jedyny raz był szybszy. Wszyscy zaczęli krzyczeć. I uciekać. I strzelać.

Uciekał Witek, niedaleko uciekł. Kula była szybsza. Jeden jedyny raz był szybszy, a potem znowu ospały. Kula go dogoniła. Nie musiała się spieszyć.

Uciekali ojciec. Uciekali i uciekli. Nasz *Haspodź* długo pozwala żyć niegodziwcom.

Uciekał Janek. Uciekał i uciekł. Zabili go później. Trzy tygodnie później, a jakby następnej chwili.

Misza przepadł do nas. Wyrwał pistolet z kabury Joachima. Potem rzucił się do ucieczki. Wszystko stało się tak szybko. Misza uciekał i uciekł.

A my leżeliśmy. Joachim leżał na mnie i na Mikołaju. Podbiegł do nas żołnierz. Wszystko działo się tak szybko. Szarpnął. Wyciągnął widły. Mokry dźwięk. Tak szybko. Mokry dźwięk i trzaśnięcie, jak spadająca dziobem na kamień, jeszcze żywa głowa koguta.

Ten dźwięk. Nigdy nie zapomnę. Śni mi się. Śni, a ja nie potrafię się wtedy wybudzić ani ogłuchnąć. Słyszę, gdy śnię. Słyszę, gdy widzę *wiły*. Słyszę w cerkwi.

Ten dźwięk. Jakby ktoś ogłuszał cielaka kamieniem. Plaśnięcie o wodę. I chrupnięcie, stłumione mięsem. Plask.

Podbiegł do nas żołnierz. Wszystko działo się tak szybko. Szarpnął. Wyciągnął widły. Poczułam ciepło na brzuchu. I niżej.

Oczy Joachima gasły. Kiedy żołnierz szarpnął, by wyciągnąć widły, Joachim uniósł się lekko. Na sekundę może, a potem spadł na mnie. I Mikołaja. Jak stos szmat. Poczułam ciepło na brzuchu. I niżej.

To nie było dobre, suche ciepło, jak to znad *plity*. To nie było dobre, wilgotne ciepło, jak przy mężczyźnie. To było ciepło ciężkie i gęste, lepkie. Obce. Jak rozgrzany wosk albo metal.

Poczułam gorąc na brzuchu. I niżej. Wszystko stało się tak szybko. I Witek, co o jeden raz za mało, i za dużo, był szybszy. I Janek, co uciekał, i uciekł, wprost pod wieko trumny. I ojciec... Tak szybko.

Obce. Ciężkie. Lepkie.

Oczy Joachima zgasły, a twarz jak ścierka, taka biała, usta białe, tylko z kącika czerwona kreska, najpierw jedna, potem druga, taka czerwona jak wstążki, związałam je w kokardkę opatrunku, żeby nie umierał. Żeby nie, tylko nie to. Nie teraz i nigdy. Nigdy.

Obca – taka była krew Joachima, choć jego ciało było tak bliskie. Ciężka – taka była krew Joachima, choć on sam niewiele ważył, tak wychudł.

Żołnierze podnieśli ciało Joachima. Zaczęli tamować rany, nerwowo pokrzykiwać, ja wiedziałam, że nadaremno. Że już go nie zobaczę. Że życia uszło za wiele przez te dziury po widłach. Tak szybko.

Tak szybko uszło tyle życia.

Leżałam jak łąka niebieskich kwiatków. Z purpurową sadzawką. Nie pozwolono mi długo leżeć. Mikołaj leżał obok. Kwilił. Podszedł do nas inny żołnierz. Z wyciągniętym pistoletem.

Zanim cokolwiek, on już strzelił do Mikołaja. Może i mogłabym bardziej synka kochać, mogłabym bardziej, był on ze mnie, ale więcej jeszcze z Joachima, tylko że czasu zabrakło. Za szybko. Tak szybko.

A żołnierz chciał strzelić do mnie, tylko że pistolet się zaciął, a jego towarzysz wyrwał mu broń. Szarpali się.

Towarzysz wyrwał żołnierzowi broń. Coś krzyczał, nie rozumiałam. To wszystko działo się za szybko i w nie moim języku. Wyrwał mu broń, lecz nie zdjął mu ciężkich butów. Kula byłaby szybsza. Buty cięższe i bliżej.

Żołnierz, ten rozbrojony, mnie kopął. Kość chrupnęła. Straciłam przytomność. Szybko. Ale za wolno. Za wolno. Za wolno.

Sonia siedziała na *leżajce*. Zwyczajnej *leżajce* z beżowych kafli. W zwyczajnej kuchni ze zwyczajnym stołem. W zwyczajnym kaftanie w ciemną kratkę. Ze zwyczajnymi, choć sztucznymi zębami na dziąsłach, też zwyczajnych. W zwyczajnym świecie bez przemarszu wojsk, bez słów wielką krzyczanych literą, bez Godziny W i innych cmentarzy.

Opowiadała swoje zwyczajne życie z miejsca, gdzie ludzie za krótko żyli, bo wplątała ich w szprychy historia, a ona zawsze jest przeciwko ludziom. Historia jest zawsze przeciwko ludziom, a najbardziej – kobietom.

Sonia, taka nagle młoda, z bukietem niezapominajek w dłoniach i szkarłatną wstążką, siedziała i milczała. Wspominała, co przeżyła, i wyobrażała sobie, co przeżyje, gdy umrze. Albo raczej: z kim. I że „nic” to jest dobre słowo. Jak kojący okład z octu po ukłuciu osy.

Czas, jej czas się dopełniał.

Igor również milczał, wtrącony w siebie z dzieciństwa, wytrącony z Warszawy, milczał jak pedantyczny sekretarz redakcji. Igor szanował Sonię, a nam wypada uszanować Igora, bo to jemu przypadło w udziale pożegnanie Soni Białej, Soni Kulawej, Soni od Dwunastu Psów, od Dziewięciu Kotów i Niezliczonych Bolesci. Wypada uszanować, choć wolno go nie lubić, albo też nim pogardzać. Czemu nie?

Siedział na kocich łbach, pośrodku wybrukowanego kamieniami skrzyżowania. Nie otwierał oczu. Papieros dopalał się między palcami.

Igor nabrał tego zwyczaju niedługo po premierze sztuki. Jechał na wieś, gdy tylko pozwalała mu na to kariera, daleko od Warszawy, i siadał tam, gdzie kiedyś zdarzyło się to, co starał się pokazać.

Właśnie tutaj, dokładnie tutaj nastąpiła Druga Scena Przebudzenia. Oglądał ją wiele razy. Na deskach sceny leżały trzy ciała. Leżała Sonia, jak zdeptana łąka niebieskich kwiatków. Leżał Witek, jak powalone drzewo. Leżał Mikołajek, jak czerwony tobołek albo rozbite jajko z pisklęciem w kołysce skorupki. Właśnie tutaj. Leżały trzy ciała i stała jedna osoba.

Igor siedział z zamkniętymi oczyma i papierosem. Zastanawiał się, co jeszcze można by poprawić. Kocie łby już mu nie mrozą tyłka. Uwierają, lecz ich twardość jest, sam nie wie, uspokajająca. Sonia jęczy cicho. To pojedynczy jęk. Przebudzenie ciała. Aktor grający rolę Ignacego zakłada skrzydła. Skrzydła są z kleju, plastiku i prawdziwych gęsich piór. Wystarczą na wiele wojen i przedstawień, przecież skrzydła nie niszczą się szybko, tak rzadko używane, prawie nowe, częściej człapie się po ziemi, niż macha w powietrzu. Tych skrzydeł nigdy nie zniszczy latanie, prędzej chlor, którym się je wybiela. Bo wybielania, w przeciwieństwie do latania, jest naprawdę dużo – ten świat jest brudny nawet po deszczu.

Jestem Gabriel Dziewiętnasty, taka dostała mi się rola, jestem Anioł Stróż, a właściwie Ciec. Głównie sprzątam. Podnoszę czerwony tobołek. Ten tobołek składa się z materiału, mięsa, kości i pojedynczej kuli. Ten tobołek był, starczy cofnąć się o jeden kwadrans, kulę i pięć stron, Mikołajkiem.

Zmierzam z tobołkiem w stronę pobocza. Ziemia jest miękka. Muszę wykopać dół. Niezbyt wielki. Nie lubię kopać, dlatego wybrałem Mikołaja, a nie Witka. Witek jest duży, dół musiałby być głęboki, a ja mam tylko własne ręce i widły, i kaprysy mego Szefa.

Pracuję w słońcu i w pocie czoła. Anieli nie mają płci, mają czoła, nie mają krwi, lecz pot owszem, aż w nadmiarze; kopię rękoma, spulchniam ziemię widłami. Staram się nie pobrudzić skrzydeł.

Dół wykopany, niezbyt głęboki, niezbyt szeroki, w sam raz. Jestem Gabriel Dziewiętnasty, sprzątam i stróżuję. Nikt nie wymaga, bym się przepracowywał albo milczał.

Całuję tobołek. Błogosławie, choć nie mam takiej mocy. Potem zasypuję go ziemią. I myślę sobie, że moje miejsce jest na główce od szpilki, a nie tutaj, na rozstajach, z których każda droga prowadzi w zło i smutek. Ten świat jest obrzydliwy, a z rzadka zdarza się ktoś wspaniały. Ten świat mógł opierać się na fotosyntezie, a opiera się na przelewaniu krwi. No i uczą nas na niebieskich kompletach. Muszą uczyć, bo okrucieństwa pojąć nie sposób. Uczą nas, że najwłaściwsza i jedyna religia to mizantropia przełamana empatią i współczuciem. Tylko tyle zostało po wyjściu poza fotosyntezę. Tylko tyle.

I pomyślałem, że obok Soni wbiję widły. Przydadzą się jej.

Obudził mnie ból. Tępy, pulsujący ból w biodrze, jak ropień w zębie po łyku lodowatej wody. Uniosłam się z trudem na łokciach. W zasięgu wzroku żywej duszy. Kilka pierwszych chałup w Słuczance. Niedaleko ciało Witka, dziwnie wykręcone, jak liść kapusty toczony przez robaki. Nie było Niemców, nie było motocykla i ciężarówki. Nie było Joachima. Nie było Mikołaja. Nie było fury. Ktoś wbił widły w ziemię niedaleko, przy drodze.

Pamiętałam, co się zdarzyło. Pamiętałam też, że to nie mogło się zdarzyć. Bo po co? Dlaczego? Zdarzenia nie powinny zdarzać się bez celu. To grzech.

Obudził mnie ból. Tępy, pulsujący ból w biodrze. Uniosłam się z trudem na łokciach. Obudziłam się, nie widziałam żywej duszy, a i martwe niewyraźnie. Dlatego wydało mi się, że dopiero zasypiam, że zapadam w sen. Bo jak wytłumaczyć pustkę dookoła? Te kamienie, na których leżałam? Brązową plamę na sukience? Brak mego dziecka i męża? Nieobecność Joachima?

Ponieważ śniłam, jak to we śnie bywa, nie mogłam zmusić własnego ciała do posłuszeństwa. Nie mogłam zmusić mego ciała do powstania, bo niebo wisiało tuż nad moją twarzą, tak blisko, że musiałam przez nie oddychać; za blisko, jak namoczona ścierka. Opierało się na trzonku od wideł, a potem opadało jak wilgotna, ciężka płachta prześcieradła, żeby zatrzymać się nad wykręconym ciałem Witka.

Rozglądałam się dookoła. Postanowiłam doczołgać się do wideł, bo tam niebo wyżej zawieszona, jakby obeschnięte i lżejsze; może tamtędy uda mi się wstać? Tak myślałam w tym czy tamtym śnie. Czołgałam się, bardzo bolało, nie płakałam. Wiedziałam, że to nie jest naprawdę. Żal mi było prawdziwych łez na nieprawdziwy świat. Bałam się, że prawdziwe łzy przemienią mój koszmar w rzeczywistość. Dlatego się czołgałam, kawałeczek po kawałeczku, mimo to nie płakałam, kamień po kamieniu, nie płakałam, nawet najmniejszego ziarenka żwiru.

Wreszcie dotarłam do wideł. Nie wiem, ile to trwało. Spojrzałam za siebie. Zobaczyłam smugę burą i połyskującą jak śluz, którym znaczy swoją drogę ślimak. Droga była bardzo wyraźna; ślimak niesie dom na grzbiecie. A ja? Na grzbiecie miałam poplamioną sukienkę. Taka sukienka służy do wyjścia, służy w niedzielę. W takiej sukience nie można zamieszkać. Nie można rozpalić ognia.

Dlatego zdarłam z siebie sukienkę. We śnie ręce nie słuchają głowy, nie trafiają tam, gdzie człowiek chce, zawsze trafiają gdzieś obok. Mimo to zdarłam sukienkę. Skoro ona taka odświętna, nie chcę takiego święta.

Dlatego zdarłam z siebie sukienkę. Mój sen się jednak nie zmienił, jeśli coś się zmieniło, to pogoda. Było mi zimniej, jakby deszcz zaczął. I żałośliwie, jakby już nikt mnie nie czekał.

Dlatego zdarłam z siebie sukienkę.

Ignacy zgarbił się nad ceratą, nad bukietami na każdą okazję, przetartymi do braku koloru przez naczynia i sztuce, do śmiechu i do płaczu, na śniadanie i kolację. Najpiękniejszy bukiet był biało-niebieski; w samym centrum ceraty jak obwarzanek krągły. Ignacy zgarbił się przy stole: taki staruszek z niego wyszedł, jak mysz przez pastkę, a z worka szydło lub mklik mączny. Jak z dziecka drżące dziadka ręce, a z ręki – powietrze z piórkami, jakby kot rozszarpał gila. Ignacy zgarbiony i sędziwy, wolno by pomyśleć, że aż mądry i sprawiedliwy.

Sonia westchnęła, westchnęła z nadzieją, jakby nie kolejny sierpień trwał w najlepsze, lecz jakiś wrzesień, kiedy rok szkolny się rozpoczynał z szansami na nowe; choć przecież edukacji na własnej skórze Sonia nie doświadczyła, trzeba było PRL-u, a on przyszedł nazbyt późno – poza imieniem i nazwiskiem niczego w życiu nie napisała, kilka może krzyżyków, że się zgadza na zdanie pola i na rentę.

Sonia uśmiechnęła się najpiękniej do Ignacego, uśmiechnęła się szeroko i porcelanowo. Wyciągnęła dłoń z sukienką. On wziął stary, poplamiony materiał, a Sonia ułożyła swoje dłonie na podolku.

Leżałam obok wbitych w ziemię wideł. Zdołałam doczołgać się do nich, na więcej nie starczyło mi sił.

Leżałabym tak do końca świata, najpierw w ciele, naga, później gnijąca do kości, aż wreszcie jako kawałek pola przerośnięty korzeniami chwastów.

(Ach, wzruszył się Igor, Antygonia i Polinejkes! Gdyby Sonia gniła, czy ktoś by ją pochował?)

Ściemniło się, a może po prostu ciemno miałam przed oczyma. Ktoś wziął mnie pod ramiona i zaczął ciągnąć w stronę wsi. Nie chciałam, jak jednak nie chciać, kiedy biodro strzaskane, usta wypełnione ziemią, a ciało puste jak wylinka bez węża?

Po sapaniu poznałam, że mnie ojciec ciągnęli. Ojciec tak sapali, kiedy mnie kochali. Znałam to sapanie i nienawidziłam. Bardziej niż bicia.

Ojciec dociągnęli mnie, pustą poszwę, próżne mleko, do chatupy. Zagrzali wody. Pomogli się umyć i ubrać. *Paklikali*⁶² szeptuchę, co opatrzyła i zamówiła rany, nie za darmo zresztą. Od powietrza i wody. Lnianym płótnem i popiołem w szkle. Od wojny i historii. Zakopując popiół na rozstajach i szepcząc zaklęcia: „Kto mówi o zwycięstwie? Przetrzeć, oto wszystko”.

(Rilke? – zadumał się Igor, to jednak chyba przegięcie).

Nie przypuszczałam, że ręce ojca, stare i spracowane, mogą być tak delikatne. Czyżby te ręce wyrobiły mnie z ciała mojej matki prawdziwą miłością? Brały w siebie i kołysały jak łupiny kołyszające jądro orzecha? Po raz pierwszy ten dotyk mnie nie parzył jak rozpalone polano, choć też skórę miałam blaszaną. Takie ręce z mięsa, takie palce z kości nie mogły mnie skrzywdzić, nawet zarysować mnie nie umiały.

Leżałam skulona i pod pierzynami na *leżajce*. Ojciec na stole rozpalili lampkę, choć tak oszczędzali; tacy skąpi zawsze, tacy w mroku jak kąt w cerkwi. Ojciec patrzyli na mnie tak, jakbym naprawdę była jego córką. Ojciec patrzyli na mnie, jakbym naprawdę powstała z jego lędźwi, a nie – tym lędźwiom miała folgować.

Ojciec patrzyli na mnie jak ojciec.

To dlatego, myślałam, dzieci kochają rodziców. Dla takiego spojrzenia. Dla rąk, co nie tylko karcą i boją, lecz też zasklepiają rany.

– *Heta usio moj hrech*⁶³ – powiedzieli ojciec. – *Ja ciabie pierapraszaju*.

Opuściłam powieki na tak. Tak, to twój grzech, ale nasza śmierć. To było takie łatwe, wyklepać winę i czekać na ochłap przebaczenia. Takie łatwe, lecz dalekie od prawdy. Takie łatwe, starczy pozwolić skórze powiek opaść po gładzi oka, jak kostce mydła, co wymyka się w *balejce*⁶⁴ z dłoni.

– *Ty mnie darujasz?* – zapytał. – *Ty możasz?*⁶⁵

Patrzyłam na ojca. Taki *papsawany*⁶⁶ siedział, malutki i nieszczęśliwy. Taki niepodobny do ojca, który mnie kochał wbrew mnie i wbrew także bił, pomiatał mną i krzywdził, ładował się we mnie, ale zawsze wycofywał na czas. Różni ludzie, niepodobni. Jak przebaczyć temu

⁶² paklikali – zawołali

⁶³ Heta usio moj hrech. Ja ciabie pierapraszaju. – To wszystko mój grzech. Przepraszam cię.

⁶⁴ balejka – balia

⁶⁵ Ty mnie darujasz? Ty możasz? – Przebaczysz mi? Możesz?

⁶⁶ papsawany – popsuty

przepraszającemu, malutkiemu i nieszczęśliwemu to, co zrobił tamten duży, silny i okrutny?

Może umiałabym przebaczyć tamtemu, który mnie gwałcił i poniżał, nie umiałam jednak przebaczyć temu, który o przebaczenie skomlił, a którego nie znałam.

– Nie – powiedziałam. – *Ni mahu. Ni chaczu.*⁶⁷

Tak był mały, nieszczęśliwy, że tylko skinął głową. Było mi go żal. Lecz tamtego dużego i krzepkiego, z żył i mięśni, nie umiałam żałować, bo nie potrafił pożałować tamtej mnie: małej, nieszczęśliwej i ufnej. Zdrowej. Tamten brał, co chciał, a teraz nadszedł czas, żebym i ja chwyciła, co boli, a czego nie potrzebuję.

– Kiedy zrozumiem, że nie żyjesz, zapłaczę ze szczęścia – powiedziałam, i tak zresztą później zrobiłam, na bagnach.

Kiwnął głową.

– Umrę szczęśliwy, bo będę wiedział, że właśnie płaczesz ze szczęścia – powiedział.

– Chcę tylko, żebyś umarł. Bez mogiły i pogrzebu.

Następne dni, ciężkie jak skiba ziemi, zaczynały się przeciwko mojej woli, wbrew trwały i kończyły pomimo. Przeżyłam dzięki miłości ojca. Nienawidziłam go, moja nienawiść jednak okazała się niczym przy jego oddaniu. To on mnie karmił, przemywał i okrywał. To on wywoził mnie do lasu, gdy przychodzili Niemcy, i palił ogień w dzień i w nocy. To on przybiegał, gdy oddychałam ciszej niż drzewa, kładł dłoń na czole i mamrotał modlitwy. To on wreszcie zabrał z drogi moją sukienkę.

Ojcu zawdzięczałam życie, po raz drugi.

Chciałam umrzeć. Nie po to, by dołączyć do Joachima i Mikołaja. Do matki i Witka. Chciałam umrzeć przeciwko ojcu. Nie dlatego że nie miałam po co żyć. Chciałam, żeby ostatni wysiłek mego ojca zakończył się niepowodzeniem. Żeby został najbardziej sam: malutki, pokurczony i żywy; długo żywy.

Nienawiść, nawet zapiekła i żelazna, nic nie znaczy w obliczu miłości. Tonie jak ziarenko piasku w wodzie, nie unosi się jak wyschnięta pestka wiśni.

Kiedy już stało się pewne, że przeżyję, po wielu dniach gorączki i wielu nocach spadających szyszek, które uderzały w mech jak bomby, kiedy stało się jasne, że przeżyję, pomyślałam, że to niesprawiedliwe.

Jeden jedyny raz dostałam, kogo chciałam – Joachima. A potem, jakby za karę, że ktoś mi się dostał, zabierano mi po kawałku, człowiek po człowieku, miesiąc po miesiącu to, co zdołałam pokochać.

To ojciec mi opowiedzieli, co się wydarzyło, kiedy chorowałam.

⁶⁷ Ni mahu. Ni chaczu. – Nie mogę. Nie chcę.

Niemców rozwścieczył atak na oficera SS. Przygotowali się do polowania. Zdawali sobie sprawę, że sami pogubią się w lasach i na bagnach, dlatego chwycili się skuteczniejszego sposobu. Rozdali broń mieszkańcom okolicznych wsi; wojna i tak była już przegrana, choć dopiero rozkwitała, nie musieli się martwić, jak broń zostanie potem użyta, przeciwko komu; bardziej kłopotowały ich powojenne porządki. Zażądali głowy Miszy i Janka. W zamian obiecali pozostawić mieszkańców wsi w spokoju. Obietnica spokoju, nawet niedotrzymana, waży w czasie wojny góry złota. Soni i jej ojcu mieszkańcy wymierzili najwyższą karę: odwrócili od nich wzrok. Na chwilę.

Żałosne musiało to być polowanie. Nie wiadomo nawet, kto bardziej był zwierzyną, a kto myśliwym. I zwierzyna, i myśliwi mieli dać głowę pod topór; kwestia czasu i przypadku. Czy to wielka różnica, kto zabije i dlaczego? Niemiec, Rosjanin, Białorusin i Polak strzelają kulami bez narodowości.

Sąsiedzi polowali na sąsiadów.

Misza uciekł w las. Nie minęły trzy dni, a dopadli go dwaj z Królowego Stojała. Jednego Misza ustrzelił, drugiego ranił; sąsiedzi przez rzekę. Dzięki rannemu wiemy, co się wydarzyło.

Jednego Misza ustrzelił. Nawet nie przykładał się do strzału. Kula otworzyła trzecie oko w czaszce pierwszego. Mam nadzieję, że zajrzał on tym nowo otwartym okiem wewnątrz siebie i zobaczył przez dwoje pozostałych oczu to, co próbował zrobić.

Drugiego Misza ranił. Nawet nie przykładał się do strzału. Kula strzaskała bark i ugrzęzła w pniu sosny. Może spadła szyszka, a pająk zawisł na przędzy. Nie zabijaj pajaków w mieszkaniu. To przynosi pecha.

Misza podszedł do pierwszego, martwego. Potem do drugiego, zwijającego się z bólu, skurczonego jak opadły liść. I powiedział:

– Powiedz, że to ja.

Powiedział i nie czekając na potaknięcie, przyłożył lufę do własnej skroni.

Nie słyszeć, jak kula kruszy kość i przecina tkanki. Słyszeć huk, bo dźwięk jest wolniejszy od kuli, a co dopiero od Witka, mego biednego, niekochanego, ociężałego Witka. Kula wyprzedza dźwięk, wchodzi w ciało jak gwóźdź w drewno. Jak klin w siekierę.

Nie słyszeć, jak kula kruszy kość.

Nie słyszeć, jak ludzie myślą o sobie. Jak w myślach ratują ukochanych. Jak przychylają im nieba, sobie skapiąc powietrza. Jak odkrywają zwiędłą pierś z kropelką mleka.

Scena Świętej Trójcy Parabellum.

Na pustych deskach sceny wyrastają sosnowe pnie z rzutnika, choć brzozy też są w porządku, gdyby sosny okazały się niedostępne, trzeba by tylko przygasić biel pni. Na niebie wykluwa się anioł, wykluwa się z drugiego rzutnika. Ten anioł jest stalowoszary, zaś technologia jest 3D. Skrzydła ma załamane jak mewa. Takie skrzydła miały niemieckie sztukasy. A twarz anioła jest jak kabina pilotów. A oczy anioła są z fasetek szyb tej kabiny. A usta jego jak dziób albo cygaro bomby. A mandorla jak swastyka. A chóry sławiące jak zawodzenie syren i śmigła. A inni anieli, z trzeciego rzutnika, jak legion bombowców nurkujących.

Niebo staje się stalowoszare, brzemienne nie burzą, tylko ogniem i pyłem, i jękiem syren, wabiących każdego słuchacza na śmierć. Do tego koniec końców sprowadza się założenie, że jakiś Bóg istnieje, bo przecież nie ma sprawiedliwości. Sprawiedliwość to grzech.

Na deskach sceny, pod tym niebem przygaszonym, choć huczącym silnikami, pod sufitem z żyrandolami złoto-kryształowymi, na deskach pieńek, a na pieńku aktor grający Miszę. Chwilę później wbiega dwóch młodych aktorów. Padają dwa strzały, a po dwóch strzałach – padają dwaj aktorzy. A może najpierw padają aktorzy, a po nich – strzały? To nie jest od strony technicznej perfekcyjny spektakl.

Obrazy z rzutników rozjaśniają się stopniowo. Jako ostatni znika stalowoszary anioł z metalu. Pada trzeci strzał, lecz na scenie nic nie ulega zmianie: jeden aktor siedzi, dwaj leżą. Czy teraz, w teatrze, choć na jedną scenę, uda się zatrzymać śmierć?

Białe tło wypełnia ogromniejszą twarz Miszy. Zarośnięta i zmęczona. Dzika, jednak z błyszczącym okiem. Przy prawej skroni lufa. Pod lewą skronią czyjeś blade dłonie, rozłożone i otwarte ku górze, jak miska na nic, żebracza.

Gdyby z lufy poprowadzić niewidzialną linię przecinającą czaszkę Miszy, u lewej skroni ujrzelibyśmy niewielką trąbę powietrzną, przyssaną – jak pijawka – do skóry. Trąba rozszerza się lejkowato w chmurze czerwonych kropelek i porwanego na strzępki mięsa oraz kości, tak jakby ktoś kichnął. Oko tej trąby, nie szersze niż pinezka, jest jak pocałunek wysysający szpik z kości, też z głodu.

Tak oto kończy Misza, mąż Soni, powiernik jej kłamstwa i obrońca jej brzucha. Tak oto kończy. We własnym lesie i z własnej ręki. Broń ukradziona, życie wcześniej wyrwane historii z gardła. Życie uszło w kieszonkowym tornadzie z kropelek krwi oraz strzępków mięsa i kości.

Nim upadnie, przypomni sobie najpiękniejsze sceny z własnego życia, taka utarła się konwencja śmierci. Pociemniałe od świec ikony w złożonych ramach i Sonię na cmentarzu, kiedy powiedziała: „Jestem z tobą”, choć tego nie usłyszał wtedy. Nie usłyszał wtedy, słyszy teraz, jakby dzwony na dzwonnicy nauczyły się wreszcie mówić, a nie grozić piekłem czy pożarem.

A potem upadnie na mech. Mech jest miękki. Najpierw wsiąknie Misza w ściółkę, potem przylecą kruki, by posilić się oczyma, potem zdziczałe psy i wilki przekąszą skruszałe mięso, a sroka zanieśie do gniazda obrączkę. Czyste złoto, najwyższa próba, ponad głowami grzybiarzy, pod czarnym ogonem, w pazurach lub dziobie, wprost do gniazda, w którym nikt nie je złota ani nie przysięga, że na zawsze.

Wiele lat później, nie tak znowu dawno temu, za wieloma pagórkami i zmeliorowanymi bagnami, za wieloma reformami, za wieloma ciemnymi celami i wieloma kłamstwami podpisywanymi krzyżykiem, bo palce wyłamano, a liter nie nauczono, wiele lat później Sonia wybrała się na jagody, wybierała się na nie wielekroć. I co jej się przytrafiło jednokroć, zgubiła się.

Zmęczona, przysiadła na powalonym pniu. Zbutwiały pień pękł, a Sonia poleciała na plecy, po raz drugi w życiu. I wtedy zajrzała pod darń, odsłoniętą po latach. Dojrzała kilka kości ręki. Kości zaciskały się wokół pistoletu. Pistolet pokryty rdzawym nalotem, a kości – siną pleśnią. Sonia splunęła, potem przeżegnała się po trzykroć. Wstała i odnalazła ścieżkę do domu.

Takie przypadki nie zdarzają się ludziom przyzwoitym, tylko przeklętym, zaznaczonym krzyżykiem.

Sonia skończyła opowiadać o Miszy. Misza po raz kolejny pociągnął za spust. Po raz kolejny poszedł do piekła, czy gdzie indziej bądź, tam dokąd samobójców ciągną ścieżką obstawioną kapłanami i dogmatami. Gdziekolwiek by szli, to nie może być dobre miejsce, bo życie było beznadziejne, a śmierć tylko trochę łagodniejsza. Sonia wyobrażała sobie takie miejsce jako równinę – płaskie niebo i płaska ziemia, pustka, w której istnieje tylko linia horyzontu. Linia, równe cięcie nożyc, gdy już odłożono nadzieję, bez strzępków i nitczek.

Sońka na *leżajce*, Ignacy przy kuchennym stole, Igor czujny, zawsze w pracy, ciągle robi karierę, wszystko mu się przydać może, recyklinguje cierpienie i śmierci. Pozostała już tylko do wypowiedzenia śmierć Janka.

– Nie ma wiele do mówienia. Zabili dwa tygodnie później. Chyba nasi zabili, bo mnie pozwolili żyć. Gryzło ich sumienie, to mnie zostawili. A może oni sumienia nie mają? Historia to zło. Zło. Zło wielkie jak sam *Haspodź*. Zło, które nie istnieje, a równocześnie niszczy.

Ignacy pomyślał, że Sonia powinna założyć sukienkę w niebieskie kwiatki z burą plamą, sukienkę z dawno, dawno temu. Sukienkę kodę. Sukienkę poszarpaną i zaplamioną jak XX wiek. Sonia jednak siedziała w zwyczajnym ciemnym kaftanie, a on ścisnął zawiniątko z sukienką.

Sońka delikatnie uniosła głowę i wstała.

– Czas na mnie – powiedziała. – Czekają mnie nikt.

Wypiła odrobinę wody. Kurtyna opadła, kwadrans przerwy, toaleta zaprasza, kieruj się zielonymi strzałkami, Toilet, nie Exit.

Sonia obciągnęła materiał kaftana. Jozik miauknął. Dotknęła pergaminową dłonią twarzy Ignacego, a Igor się wzdrygnął. Wyjęła zęby i położyła na serwetce w kredensie. Zdjęła chustkę. Związała gumką białe włosy w ogonek. Weszła do niewielkiej sypialni, przez którą przechodziło się do pokoju gościnnego. W sypialni, obok łóżka i ikony, stał drewniany stolik, a na nim czarno-biały telewizor. Stolik chwiało się, a telewizor popsuł trzy lata temu. Ostatnim obrazem, który pokazał, była śnieżna burza.

Sonia przeszła przez sypialnię i położyła się na równo zaścielonym łóżku w gościnnym pokoju, w *wielkiej chaci*⁶⁸. Nigdy tu nie spała. Dziś czuła się jak gość, gość u siebie i w świecie. Kołdry i poduchy nawet się nie ugięły. Przeżegnała się i skrzyżowała dłonie na piersiach. Zamknęła oczy i tyle widziała na ziemi – deski sufitu z pajęczyną w kącie. Pająki w mieszkaniu przynoszą szczęście. Nie zabijaj, nie jesteś na wojnie!

⁶⁸ w wielkiej chaci – w dużym pokoju

Nie skończyłem słuchać, pomyślał, jeszcze jeden oddech, nie wolno mi go nie dosłyszeć. Schylił się, żeby pogłaskać kota. Kot się nie poruszył. Zastygł martwo jak dokumenty źródłowe.

W kuchni światło dnia. Sonia nie żyje. Wiedzą o tym tylko dwie osoby na świecie: ona i Igor. Otworzył drzwiczki kredensu – *chlapauki*⁶⁹, bo drzwiczki robią chlap-chlap – żeby upewnić się, czy zęby leżą na serwetce. Leżą. Białe i porcelitowe. Z różowym mięsem plastikowych dziąseł.

Na blasze, niedaleko drew, leży kot. Jest sztywny jak figurka z drewna. Sierść wyliniła, więcej na nim kurzu niż pręg. Dziewiąte ciało Jozika Pasterza Myszy.

Nigdy nie rozpalał w piecu. Wkładał teraz co cieńsze drewnienka. Prędzej wywoła powódź, niż skrzese ogień.

Usiadł przy Soni, przy łóżku. Mógł chwycić ją za rękę, jak na filmie, lecz przecież nikt ich nie obserwował, po prostu siedział przy niej, na krześle, z dłońmi na kolanach. Dłonie najpierw otwierały się ku górze, niczym podczas ćwiczenia jogi, ale jak tylko zdał sobie z tego sprawę, poprawił je na neutralne pod względem symboliki, puste.

Wcale a wcale nie wpatrywał się w Sonię, to by było niegrzeczne, natarczywe. Spojrzy, gdy ona odejdzie, wyjdzie. Czekał na ostatni oddech.

Usłyszał.

Usłyszał ostatni oddech.

Był głośniejszy, podbity jedwabistym jękiem. A po nim jeszcze seria dźwięków, podobnych do delikatnego dmuchania na gorące, prawie bezdźwięcznych, w nich jednak już nie było życia. Puff, puff. To ciało, samo ciało, porzucone przez właścicielkę, robiło w sobie miejsce na śmierć, na robaki i gnicie. Teraz było już własne, samoswoje, tak by Sońka powiedziała, czyli niczyje.

Powinien zacząć organizować jej śmierć. Nie miała nikogo. Spotykała jedynie tych, którzy organizowali jej życie, i ani jednej osoby od śmierci.

Kiedy pomyślał, że mógłby po prostu wyjść i zaufać rozkładowi, jakby nigdy się nie spotkali, poczuł takie przerażenie, że aż zabrakło mu tchu.

Przebiegł go prąd, silne uderzenie, błękitna błyskawica.

Wtedy usłyszał muczenie. To Mućka.

Tak. Sońka musi poczekać na swoją kolej. Krowę trzeba najpierw wydoić. Oby okazało się to prostsze niż rozpalenie w piecu.

Wyszedł na podwórko. Znowu światło.

I Borbus zwinięty pod ławką.

Nie musiał sprawdzać. Wiedział, że jest sztywny albo trochę tylko ciepły.

Niech ktoś wreszcie przekreśli słońce.

⁶⁹ chlapauka – kredens z szafkami

Sonia złożyła ręce na piersi. Umarła jak trzeba, porządnie, nad ranem i na amen.

Pogrzeb Soni był raczej skromny, choć kosztowny, jak jej życie. Gości nie było wielu, Królowe Stojło i Słuczanka, kilka osób z Gródka, Waliń i Zarzeczan. Gości nie było wielu, za to wieńce ogromne. Igor obsadził ostatnią ścieżkę Soni morzem kwiatów, oceanem i falą i wzburzeniem wód, za mnóstwo pieniędzy.

A najwspanialszy wieniec, jakby żywcem przeniesiony z ceraty, wyglądał tak: okrągły i wielki jak tylne koło traktora; upleciony z gęsich piór, białych jak pierwszy śnieg, rwanych aż do czerwieni przy dutce, przy gęganiu i węzowych ruchach szyi, a pomiędzy pióra wetkano niezapominajki, drobniutkie niebieskie płatki z żółtym okiem, no i szarfa z Soninej sukienki, a na szarfie wyhaftowane złote litery i brunatne plamy krwi. Napis z patosem: „Jestem z tobą”. Kto to komu mówił? Igor Ignacemu? Ignacy Soni? Sonia Miszy? Teatr życiu? Życie sztuce? Pretensja poprawności?

Ten wieniec był jak gigantyczne oko, jak bielmo, jak biały obwarzanek i ostatni brzeg, a pośrodku tkwiło nic niby plamka ślepa albo koło ratunkowe. Przez owo nic, gdy niesiono wieniec, przebijały drzewa i żałobny kondukt, a jak się potknęło – niebo, na chwilę, najwyżej dwa–trzy kroki, a potem – świeżo poruszona ziemia.

To był najpiękniejszy i najbardziej pretensjonalny wieniec, jaki złożono kiedykolwiek na gródeckim cmentarzu. Pewnie nie spodobałby się Soni. A może?

Światła przeszły w zielonkawę złoto. Sonia położyła się na równo zaścielonym łóżku. Kołdry i poduchy nawet się nie ugięły; w teatrze wykonano je z twardej pianki. Przeżegnała się i skrzyżowała dłonie na piersiach. Zamknęła oczy i tyle widziała na ziemi – deski sufitu z pajęczyną w kącie.

Pająki w mieszkaniu przynoszą szczęście. Nie zabijaj! Czyli szóste, dopiero szóste przykazanie, w starszym niż katolicki czy prawosławny rycie. Nie zabijaj jest szóste, zapamiętaj i policz na palcach jednej ręki. Wyciągnij wnioski, bo inaczej zdarzy się znowu to, co już wiele razy na palcach się nie zmieściło.

Ignacy poszedł śladem Soni do gościnnego pokoju.

Leżała już ze skrzyżowanymi na piersiach rękami. Młodsza niż kilka godzin temu, młoda jak wtedy, gdy przegrano jej życie, choć na nic nie postawiła, żadnego zakładu nie zawarła ani żadnej wygranej nie oczekiwała. Jej ciało wypełniało ciemny kaftan: soki, pożądanie, oddanie. Spokój i flauta. Oczekiwanie. Para tych starych zgredów: Eros i Tanatos.

– *Pryniasi serca*⁷⁰ – poprosiła Sonia.

Ignacy w pierwszej chwili nie zrozumiał. Aktor w tym momencie zatrzymuje się, zastyga na scenie. A potem aktor wychodzi za kulisy, do kuchni, aby wrócić z czekoladkami. Sonia uśmiechnęła się, bez zębów. Objęła pudełko i ulokowała serce tam, gdzie powinno być: pomiędzy piersiami i na widoku, uczciwie z renty opłacone.

– Przeprowadź mnie – powiedziała Sonia.

Ignacy zawahał się. Z podwórka oraz z offu zawyła Borbus Dwunasta. Suka nie wyła żałośnie. To wycie było jak obwieszczenie, jak niepsuta moneta, otwierająca kolejne bramy. Borbus wyła z całych psich płuc i z całej psiej miłości, i z tych okropnych klaczków na steranym grzbiecie. Jej wycie unosiło się do Dziewiątego Nieba i opadało na dno Dwunastego Kręgu.

To było wycie niby mowa heroldów. Dobywało się z psich trzewi, lecz jakby z szybu złotonośnej abisyńskiej kopalni. To było wycie obwieszczające szczęśliwe zakończenie. Wycie jak ostatnia strofa, lekka i radosna, lekce sobie ważąca poprzednie ponure wersy, Dante i Szekspir. Wycie ku chwale zwyczajnej śmierci, fundamentu cywilizacji.

Sonia Biała i Sonia Kulawa. Sonia długowłosa i długowieczna. O wielkim sercu i niemowlęcych dziąsłach sprzed mlecznych zębów. Sonia rzucająca zły urok na krowy wrogów i dobry na kobiety nieprzyjaciół.

– *Pierawiedzi*⁷¹ – powtórzyła.

Ignacy zawahał się.

Aktor znieruchomiał w pozie oczekiwania.

Borbus Ostatnia wyła. Wyła na cześć pierwszego ojca, tego o spiczastych uszach i miękkiej sierści, tego na obłoku i szczycie góry Tabor.

Jak radują się moje łapy susami do przebiegnięcia. Jak radują się moje zęby patykami do aportowania. Jak raduje się moja sierść szczotką i obrozą od pcheł. Moja pani, Sonia, wyruszyła w drogę. A ja szczekam i szczekam, goniąc za kurami i liżąc jej tydki. Zaraz wejdziemy do niebieskiej budy i założą nam złote łańcuchy, nieznaną końca. Poza czasem będziemy na uwięzi, moja pani i ja, na zawsze i aż do nigdy.

Ignacy położył dłoń na czole Soni.

Aktor wykonał pokłon jak przed ikonostasem. Przeżegnał się na prawosławną modłę, pod prąd katolickiego żegnania się, niby w lusterku, a pośrodku i tak było nic, optyczna sztuczka. Czoło Sońki było jak łódź, a jego dłoń jak wiośło, a w środku żadnego Jonasza, żadnej niespodzianki ani niczego gratis.

Próbował przypomnieć sobie stosowne słowa modlitwy. *Krinomenos* – stojący przed sądem. Tylko to przyszło mu na myśl, a i to nie dlatego, że wierzył, lecz ponieważ zapamiętał ze

⁷⁰ Pryniasi serca. – Przynieś serce.

⁷¹ pierawiedzi – przeprowadź

studiów.

Przełknął ślinę. Trudniej pożegnać, niż powitać, pomyślał. Trudniej przeprowadzić, niż wyprosić. Jak to płynnie przechodzi, „a” w „zet” i apiać.

Słyszałem ja, Igor, w pokoju gościnnym i podczas wielu morderczych prób przedstawienia, jak Ignacy przełyka ślinę. Słyszałem wycie psa, do którego dołączył miauknięciami Jozik Pasterz Myszy. Słyszałem zdania wydobywające się z głośników laptopa. Nagranie z próby dźwiękowej.

Ignacy nie potrafił sobie przypomnieć żadnych stosownych słów ani obrzędów. Bo przecież brzuchaci polscy biskupi to kpina z odejścia, a brodaci popi lepsi tylko o popadzie. Musiałem mu pomóc, sobie pomóc.

No i jakoś to wszystko musi potem wyglądać na deskach sceny. Musi poruszać. Chwytać za serce. Dusić za gardło. Najlepiej w czerni i bieli, wtedy wiadomo, że idzie o Ważne i Ponadczasowe. Teraz nikt nie widzi, potem zobaczą wszyscy. I będzie wstyd.

Przyszło mi do głowy tylko słowo obce – kadisz: wielkie ryzyko sceniczne, groźba efekciarstwa, kolejne memłanie Holocaustu. Kicz. Bez tego jednak chyba przedstawienie się nie uda. I czy to ma znaczenie, co wzrusza? Arcydzieło czy szmira? Wzruszenie jest takie samo.

(Czy Żydzi mają katharsis – zastanawiał się Igor – a jeśli nie, to czy katharsis pożyczają od Greków, gdy potrzebują? Czy tak to właśnie nie wygląda, że jedni zapożyczają się u drugich?)

Nie ma nic bliższego sercu niż obcość czy różnica. Kadisz jatam, kadisz sierocy, odmawiany przez syna zmarłej codziennie przez jedenaście miesięcy. Praktycznie staliśmy się jej dziećmi, synami Soni, wyciągniętymi znienacka, z kapelusza, za uszy, jak królik, tuż przed jej śmiercią. Śmierć była po naszej stronie, i Soni, i naszej, była naszą sojuszniczką, sprzymierzeńcem. Była uspokajającą zasadą, obietnicą, że „po” naprawdę nie ma nic. Nic. Nie ma nic. Nie lękajcie się.

Podniosłem się z fotela, nie czując wielkiego bólu, tylko złość na aktora wcielającego się w Ignacego, odstawia mi tu jakąś szopkę, za dużo grał w lekturach szkolnych. Po kilku krokach byłem tuż przy krawędzi sceny.

Dłoń Ignacego płynie po czole Soni. Krucha jest jego ręka, krucha nasza wiara; nie znajdziesz końca w drażeniu, nie znajdziesz w drażeniu początku, niczego nie znajdziesz na czas po życiu.

Jitgadal wejtkadasz szemeh raba – mówi, bo się nauczył na pamięć, a ja, wlaższy już na scenę, odpowiadam mimowolnie: *Amen*.

Teraz światło przygasa – może jakaś muzyka? Arvo Pärt? Choć nie mam przekonania – skupione jak wzruszenie na łóżku Soninym.

Bealema di wera chirutech. Wejamlich malchuteh bechajeichon uwejomeichon uwechajei dechol beit Jisrael baagala uwizman kariw. Weimru: Amen.

Mówimy: *Amen*.

O kostki ociera się Jozik. Przychodzi Borbus Ostatnia, zapchlona, ziejąca i posiwiata na pysku.

Jehe szemeh raba mewarach lealam ulealemei alemaja. Jitbarach wejisztabach wejitpaar wejitromam wejitnase wejithadar wejitale wejithalal szemeh dekudsha berich hu.

Odpowiadamy: *Berich hu*.

Odpowiadamy: Który jest Błogosławiony.

A na mojej skórze, na kroczu i wszędzie czuję coś dziwnego, kwasowe kąsanie mrówek: jakbym był opowiadany i równocześnie opowiadał.

Leela min kol birchata weszirata tuszbechata wenechemata daamiran bealema. Weimru: Amen.

Odpowiadamy: *Amen*.

Misza przyszedł, z drugiej obsady, bo aktor z pierwszej zaraził się jakąś anginą. Dywan nie ugina się, deski nie skrzypią, dziura w czaszce nie ziejże, tylko Borbus zaczyna merdać.

Jehe szelama raba min szemaja, wechajim aleinu weal kol Jisrael. Weimru: Amen.

Odpowiadamy: *Amen*, a Ignacy robi trzy kroki do tyłu, nieuzgodnione z reżyserem ruchu scenicznego, poza tekstem dramatu. Odejmuje dłoń od czoła Soni i nabiera powietrza w płuca, jakby chciał dmuchnąć w żagiel statku, jakby chciał pozdrowić tchnieniem dziadków. Pchnąć łódkę przez ostatnią wodę.

A ja czuję za plecami obcego mężczyznę. Jasnego i parzącego jak z pamięci Soni. Prosteo jak rysa na niebie po spadającej gwiazdzie. Więc i on się pojawił, środkowoamerykański plantator i oficer SS, jasny Joachim, zadrapanie na niebie i skórze?

Jest i Witek. I Janek.

Ose szalom bimromaw, hu jaase szalom aleinu, weal kol Jisrael. Weimru: Amen.

Brakuje tylko jednej osoby, żeby powstało kworum modlitewne. Żeby wreszcie pożegnać się z historią, zaciekłym wrogiem. *Minjan*. Dziewięciu. Kogoś brakuje.

Może potrzebujemy właśnie ciebie?

Bardziej, niż umiemy poprosić?

W tańcu ciał i cieni?

Właśnie ciebie?

– *Heta usio ni majo, zusim*⁷² – powiedziała Sonia.

⁷² *Heta usio ni majo, zusim*. – To wszystko nie moje, zupełnie.

*Przemysliwa jak z drogi mlecznej zrobić masło.
Z krowami mu się nie udało.*

Tymoteusz Karpowicz
Małe cienie wielkich czarnoksiężników

Jakiegolwiek podobieństwo do rzeczywistych miejsc, osób, zdarzeń i drugiej wojny światowej jest zamierzone, a także kompletnie nieuprawnione.